

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcyja i Administracyja: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Administracyja otwarta codziennie od godz. 3—5 po południu. W sprawach redakcyjnych od 4—5.

WATYKAN I ROSYA.

Dorywcze, zwykle nieokreślone wiadomości o przebiegu układów pomiędzy Kuryą rzymską a rządem rosyjskim, zjawiające się w dziennikach zagranicznych, budzą niepokój i uzasadnione obawy w społeczeństwie naszym. Przewidujemy, niemal pewni jesteśmy, że rezultat ostateczny tych układów dla nas, Polaków, nie może być pomyślnym. Rząd rosyjski nie ma żadnego powodu do przyznawania jakichś ulg lub nadawania nowych praw kościołowi i duchowieństwu katolickiemu, a nikt chyba nie uwierzy, że dobrowolnie i bezinteresownie, z poczucia słuszności jedynie, skłania się teraz do zmiany istniejącego stanu rzeczy. Wprawdzie w ostatnich czasach rząd wyrażał niejednokrotnie, a nawet zaznaczał czynnie chęć zmiany stosunku swego do religii katolickiej i duchowieństwa, ale zawsze w duchu szkodliwym dla narodowości naszej i kościoła.

Przedmiotem układów nie jest przecie w danym wypadku zawiązanie stosunków między kuryą a rządem petersburskim, bo te od lat kilkunastu pogarszały się i nigdy nie były formalnie zerwane. Chodzi więc w danym wypadku, jak w ogóle w tego rodzaju rokowaniach, o ustępstwa obustronne. Jeżeli rząd na jakiekolwiek ustępstwa dla katolicyzmu się zgodzi, to w zamian zażąda tego, co oddawna jest celem jego zabiegów — wprowadzenia języka rosyjskiego do kościoła i nabożeństwa katolickiego. Dzienniki rosyjskie, wspominając o układach, otwarcie o tem dążeniu rządu mówiły. Wszelkie, najdrobniejsze nawet ustępstwo w tej sprawie jest dla narodowości naszej i kościoła niebezpieczeństwem groźnym, którego żadne ulgi i przywileje nie okupią, a oprócz tego żadnego innego ustępstwa rząd nie potrzebuje i nie domaga się od Watykanu. Nic dziwnego więc, że opinia publiczna podejrzliwie przyjmuje wieści o rokowaniach i z obawą oczekuje ich wyniku, o którym z góry powiedzieć można, że dla nas będzie niepożądanym.

Dzienniki klerykalne, jak niedawno *Kuryer poznański*, zalecają społeczeństwu, żeby z całą ufnością powierzyło sprawę swoją Kuryi i nie wątpiło o jej przeczności i życzliwości. Ale ufności nie można wzbudzić w sobie dowolnie, nie można na rozkaz lub zalecenie usunąć obaw, które zresztą nawet prasa katolicka, chociaż z zastrzeżeniami wyraża. Przed dwudziestu laty, kiedy na tronie papieskim zasiadał Pius IX, kiedy w Watykanie wiele ważyły głosy i rady kapłanów polskich, zarówno w sprawie kościoła jak i w sprawie narodowej zasłużonych, mogliśmy mieć ufność nieograniczoną, wiedząc, że jedyną odpowiedzią na przewrotne zabiegi i groźby będzie energiczne *non possumus*. Dziś jednak, kiedy polityka Kuryi stała się nad miarę dy-

plomacyjną i pojednawczą, kiedy w zaborze pruskim widzimy już fatalne dla narodowości naszej jej skutki, naiwna wiara, że Rzym nigdy i w niczem nie zawiedzie oczekiwani naszych i nadziei — byłaby grzechem w obec narodu. Takiej wiary nikt w społeczeństwie naszym, nie wyłączając najgorliwszych katolików — nie żywi, tylko jedni dla różnych względów udają, że wierzą, drudzy zaś oględnie lub wyraźnie podejrzenia swoje wypowiadają.

Potwierdza te podejrzenia artykuł zamieszczony niedawno w *Germanii*, jako korespondencyja z Warszawy p. t. »Stolica papieska a Rosya«. Poważny dziennik katolicki oświadcza, że »nie może uwierzyć, iżby stolica święta mogła bez uzasadnionego powodu poświęcić 15 milionów wiernych katolików, którzy od stu lat znosić muszą straszne prześladowanie religijne«, uważa wszakże za potrzebne ogłosić artykuł nadesłany w celu poinformowania opinii katolickiej i oddziaływania na nią, a przez nią pośrednio na Kuryę, chociaż wyraźnie o tem nie mówi. Z zamieszczonej w *Germanii* korespondencyi podajemy w przekładzie ważniejsze ustępy:

»W ostatnich tygodniach donoszą różne gazety o układach pomiędzy rządem rosyjskim a Stolicą św., zawiązanych z kardynałem Agliardim, — następnie kontynuowanych w Petersburgu z msgrem Tarnassim, który dlatego po wyjeździe papieskiego poselstwa pozostał w stolicy. Wiemy wprawdzie, że co do pewnych dyskretnych spraw, które zawsze muszą być utrzymane w tajemnicy, nie można przywiązywać zbyt wielkiej wagi do wieści dziennikarskich, ale co do tych układów to *dochodzą nas z autentycznej strony informacye, które w sobie zawierają mało pocieszającego, natomiast wiele zasmucającego i każą się obawiać wielkiego nieszczęścia*. Te ważne informacye wymagają wprawdzie jeszcze potwierdzenia, nie są jednak bynajmniej, na co z naciskiem zwracamy uwagę, wymyślone, lecz *opierają się na pewnych i bardzo poważnych doniesieniach*, które się nam dostały w udziale. Z tego powodu uważamy za rzecz konieczną potrzebną doniesienia te ogłosić, aby wszyscy ci, którzy zawsze gotowi są bronić świętej i sprawiedliwej sprawy, powzięli prawdziwy i dokładny obraz położenia rzeczy.

»Zapewniają nas tedy, że zawiązane z kardynałem Agliardim, a z msgrem Tarnassim kontynuowane układy, poruszają się głównie na podstawie (upragnionego przez Rosyę) zaprowadzenia rosyjskiego języka w nabożeństwie katolickiem, z wyjątkiem liturgii głównej, tak, że już odtąd w katolickich kościołach Rosyi w kazaniach, spiewie, katechizmie, przy różańcu i innych modlitwach, przy zapowiedziach, ślubach, spowiedzi i t. d. używanym miałby być wyłącznie język rosyjski. — Otóż ta wieść każe nam się obawiać największego nieszczęścia,

co więcej, zupełnej ruiny katolickiego kościoła w Rosyi. Dlatego uważamy za swój obowiązek pouczyć opinię publiczną wszystkich katolików o istocie i doniosłości takiego ustępstwa. Chociażby nasze uwagi nie miały doznać uwzględnienia, jakkolwiek się tego w zaufaniu do mądrości Ojca św. i jego miłości do katolików rosyjskich nie obawiamy, to jednak uważamy za pożyteczną rzecz i pouczającą, zwrócić uwagę katolików na prawdziwe znaczenie takiej ewentualności, tembardziej, że ona zagrażała nam już niejednokrotnie od roku 1863, ale aż do tej chwili zawsze wytrwale odpierną była przez ojcowską troskliwość papieży Piusa IX. i Leona XIII.

Jakby w odpowiedzi na artykuł *Germanii* zjawił się w wiedeńskiej *Politische Correspondenz* widocznie inspirowany list z Rzymu, który jednak raczej potwierdza prawdziwość doniesień dziennika niemieckiego, niż im zaprzecza, ani słowem bowiem nie wspomina o sprawie języka rosyjskiego w nabożeństwie katolickim. Natomiast *Polit. Correspondenz* oznajmia, że Leon XIII. jest zadowolony osobiście z wyników misyi monsignora Tarnassiego i z przebiegu rokowań w sprawach, dotyczących stosunku państwa do kościoła katolickiego. Dziennik wiedeński zapewnia, „ *iż we wszystkich tych drażliwych kwestjach, które w latach ostatnich były przyczyną zamęcenia stosunków pomiędzy Watykanem a rządem rosyjskim, zadowalniające porozumienie ostatecznie osiągniętem zostanie*“, i przytacza zdanie jakiegoś dostojnika rosyjskiego, że stosunki między Kuryą rzymską a Rosyą »od lat 40 nie były tak przyjazne, jak w chwili obecnej«.

Nadmieniliśmy już, że w prasie naszej nawet pisma klerykalne doniesienie *Germanii* przedrukowały. Ostrożny i lojalny w tego rodzaju sprawach *Czas* potwierdza wiadomość o układach i dodaje: »Nic dziwnego, że wskutek tego ci, którzy znają nietylko przebiegłość różnych organów rządu rosyjskiego, ale mają już tylokrotne doświadczenie, jak dawniejsze układy wykrętnie naginane i fałszywie tłumaczone były przez te organa, mogą mieć obawy i mogą być zaniepokojeni o to, co nowe układy przyniosą«.

Dalej dziennik krakowski pisze: »Czy będą jakie ustępstwa i jakiej natury — tego nikt wiedzieć i przewidzieć nie zdoła. Ale, że w tych warunkach mogą się rodzić pewne obawy, zwłaszcza gdy się widzi coraz więcej uprzejmości na zewnątrz w stosunkach dyplomatycznych, a na wewnątrz w stosunku do biskupów, seminariów i duchowieństwa pozostaje ten sam obostrzony nacisk i te same policyjne środki, stosowane samowolnie przez podrzędne organa«.

Kuryer poznański twierdzi, że »trzeba mieć niezachwianą ufność do Rzymu«, *Czas* wyraża się dyplomatycznie: »zdaje się być pewnem, że Rzym się na to (wprowadzenie języka rosyjskiego) zgodzić nie może, bo wszelkie nabożeństwa w kościele katolickim nie mogą mieć nic innego na celu, jak tylko służbę bożą«. Rzecz jasna, że taka argumentacja raczej budzi obawy, aniżeli je uspakaja.

Nie ulega wątpliwości, że sprawa zaprowadzenia języka rosyjskiego w nabożeństwie dodatkowym na Litwie i Rusi poruszona była podczas rokowań. Nie podzielamy zbyt pospiesznego zdania tych dzienników, które sądzą, że została już ona na niekorzyść naszą rozstrzygniętą, ale tymbardziej nie uważamy za właściwe milczeć lub ogólnikowo wspominać o niebezpieczeństwie i udawać ufność, chociaż jej nie mamy i mieć nie możemy.

Od ostatniego powstania, a właściwie od r. 1868 rząd rosyjski dążył wytrwale do »odpolszczenia katoli-

cyzmu« w kraju zabranym. Wiadomo, co znaczy to »odpolszczenie«, które rząd usiłował osiągnąć, stosownie do okoliczności, wbrew Rzymowi lub w nadziei na pomoc Rzymu, a zabiegi w tej sprawie ponawiał kilkakrotnie w r. 1873, 1883—1885, wreszcie w 1888. Dotychczas Kurya stanowczo sprzeciwiała się wszelkim zmianom w tym kierunku, na Litwie jednak znalazł rząd wśród duchowieństwa usłużnych i gorliwych wykonawców swych zamiarów. Dawniejsza praca ks. Smoczyńskiego¹⁾ i świeżo wydane dzieło ks. Przybyszewskiego²⁾ gruntownie i wszechstronnie przedstawiają tę sprawę i wykazują chytre zabiegi polityki rosyjskiej, której *avida fraus*, jak wyraził się Grzegorz XVI, dobrze w Watykanie powinna być znana. A jednak ks. Przybyszewski (pseudonim kapłana wielce zasłużonego w walce o prawa kościoła i narodowości polskiej), wspomina w przedmowie do swej książki o tych, którzy »dziś wahają się i myślą, że możliwe są na tym punkcie układy i porozumienia z Rosyą«. Jeżeli w duchowieństwie polskim znaleźli się zaprzacący występni, którzy zapomnieli, że »ruszczenie obrzędów katolickich jest zbrodnią przeciw Bogu, czynem przeciwnym wierze, rozumowi, prawom ludzkim i boskim«, to w Rzymie znaleźć się mogą naiwni lub krótkowidzący politycy, którzy przyjmą za dobrą monetę zapewnienie rządu rosyjskiego, że »odpolszczenie« jest dla kościoła katolickiego w kraju zabranym korzystnym i że ruszczenia polskie nie mają słusznej podstawy.

Wiadomo, że rząd pragnie przede wszystkim za pomocą rusyfikacji kościoła osiągnąć cel polityczny, złamać siłę odporną żywiołu polskiego. Ale polityka jego, która nie znosi odrębności narodowych, nie znosi również różnic religijnych i systematycznie dąży do ich zniesienia. Prawosławie jest nieodzownym składnikiem narodowości rosyjskiej i rusyfikacja kościoła jest tylko wstępem, przygotowaniem do przymusowego nawrócenia katolików. Gdyby rząd rosyjski nie miał tego zamiaru, gdyby chciał istotnie zapewnić kościołowi katolickiemu trwałą podstawę bytu, z pewnością zaniechalby myśli zaprowadzenia w nabożeństwie języka rosyjskiego, bo poważni autorowie świeccy i duchowni rosyjscy niejednokrotnie sprzeciwiali się temu projektowi, jako niebezpiecznemu dla religii prawosławnej.

Ogłoszony przed dwudziestu kilku laty przez ks. Martynowa »plan zniszczenia kościoła katolickiego w Rosyi« wyraźnie wskazuje, w jaki sposób rząd zamierza sprawosławienie przeprowadzić. Nie brak dziś zresztą nowych dowodów podobnego rodzaju knoń tajemnych, a prasa rosyjska nawet dosyć otwarcie mówi, że rusyfikacja katolicyzmu ułatwiła by sprawę zjednoczenia religijnego, co w danym wypadku oznacza przyjęcie prawosławia. Dobrze rozumiejąc cel ostateczny polityki rządu petersburskiego, ks. Gagaryn i ks. Martynow, jakkolwiek obaj byli Rosyanami, gorąco do swej narodowości przywiązany, oświadczyli się przed 20 laty stanowczo przeciw wprowadzeniu języka rosyjskiego do rytuału i nabożeństwa dodatkowego i głosy ich szczerze wpłynęły na postanowienie kongregacyi św. inkwizycyi, która w r. 1877 z polecenia Piusa IX wydała dekret stanowczo orzekający niemożliwość tej zmiany, o którą rząd rosyjski znowu dziś w Rzymie się stara.

¹⁾ *O języku rosyjskim w nabożeństwie katolickim*. Kraków, 1889.

²⁾ *Język rosyjski w rytuale i w dodatkowym nabożeństwie*. Lwów, 1896.

Ukaz wydany 31 stycznia 1870 r. zniósł postanowienie Mikołaja I., zabraniające używać języka rosyjskiego w kościele katolickim i pozwolił parafianom prosić o nabożeństwo dodatkowe i kazania w tym języku. Zmuszano lud do podawania takich próśb, fałszowano na nich podpisy i wszelkimi sposobami zachęcano księży, żeby się na język rosyjski w nabożeństwie zgodzili. Znalazło się kilkudziesięciu odstępców, którzy w myśl rządu działać zaczęli. Wielu z nich skończyło marnie, inni, zhańbieni i znienawidzeni, ale uposażeni hojnie, utrzymali się na stanowiskach dotychczas. Biskup Hryniewiecki przypłacił wygnaniem zamiar usunięcia i ukarania tych księży niegodnych. W młodszym duchowieństwie nie mieli oni naśladowców i przez czas jakiś rząd, gnębiąc katolicyzm, o wprowadzenie języka rosyjskiego nie starał się pozornie. W ostatnich latach dopiero wrócono do projektów, jak się okazało, odroczone, nie zaś zaniechane. W diecezji żmudzkiej i sejneńskiej (w Królestwie) władze patrzyły przychylnie na usuwanie języka polskiego z nabożeństwa i zastępowanie go litewskim. Rozkaz ogłaszania w kościołach manifestów i rozporządzeń rządowych po rosyjsku był nową próbą rusyfikacji katolicyzmu nawet w Królestwie. Widząc, że w Prusiech germanizacja przez kościół odbywa się bez przeszkody ze strony władz duchownych, owszem z ich pomocą pośrednią lub bezpośrednią, i że pojednawcza polityka Kuryi ułatwi mu może doprowadzenie do pomyślnego skutku dawnych zamiarów, rząd rosyjski postanowił wznowić próbę zgnębienia ostatecznego narodowości polskiej na Litwie i Rusi. Jeżeli wierzyć można informacjom niektórych pism rosyjskich, stara się obecnie rząd o pozwolenie zaprowadzenia języka białoruskiego w nabożeństwie dodatkowym. Ma się rozumieć, pod tym pozorem zaprowadzono by język rosyjski, jak to już dawniej wykazywaliśmy.

Według obliczeń pisarza rosyjskiego, w dodatku pisarza urzędowego Ritticha, w 9 t. zw. guberniach zachodnich było katolików 906.331 Polaków, 1,033.335 Litwinów i Żmudzinów, 158.561 Łotyszów, 447.805 Białorusinów i 85.930 Małorusinów. Cyfry te należy obecnie powiększyć o 60%, ale stosunek pozostał niewątpliwie ten sam lub zmienił się niewiele. Dodać jednak trzeba, że inne źródła rosyjskie, współczesne obliczeniom Ritticha, podawały znacznie wyższą liczbę Polaków w kraju zabranym. Rittich liczy Polaków wszystkich wyznań 945.000, zaś Towarzystwo geograficzne 1,027.000, a Erkert nawet 1,257.000. W każdym razie Polaków katolików jest dwa razy więcej, aniżeli katolików Biało i Małorusinów. Wszyscy katolicy Białorusini znają język polski i nawet wiarę swoją nazywają polską, natomiast po rosyjsku rozumieją ci tylko, którzy przeszli przez szkołę i odbyli służbę wojskową. Pomiędzy Litwinami znajdzie się wielu, rozumiejących po polsku, zresztą język litewski jest używany w nabożeństwie dodatkowym i w kazaniach. Jedyny więc argument, który rząd rosyjski przytacza na uzasadnienie swego żądania, nie wytrzymuje krytyki. Ogromną większość ludności katolickiej stanowią Polacy i Litwini. Ci drudzy często nie rozumieją po polsku, ale też język ich ojczysty używany jest w nabożeństwie dodatkowym, wszyscy zaś pozostali katolicy po polsku dobrze rozumieją i mówią i nie tylko nigdy nie prosili o język rosyjski, ale, przeciwnie, jak setki faktów świadczą, zaciebie sprzeciwiali się wprowadzeniu go do kościoła.

Rząd trzydziestoletniem doświadczeniem przekonany, że przemocą zamierzonego celu — rusyfikacji

kościół, nie osiągnie, że nie złamie oporu duchowieństwa i ludności katolickiej, próbuje teraz układów w nadziei, że uzyskawszy podstawę prawną, będzie mógł najdrobniejsze nawet ustępstwa dowolnie rozszerzać i tłamać. Na bezwzględne wprowadzenie języka rosyjskiego do rytuału i nabożeństwa w kościele katolickim na Litwie i Rusi niewątpliwie Rzym się nie zgodzi, ale skoro tylko zezwoli na »dobrowolne«, w myśl ukazu z r. 1870 używanie tego języka, rząd natychmiast z tego skorzysta i gwałtem lub podstępem plan swój wykonać zacznie. Z 606 księży 115 zgodziło się w r. 1870 na język rosyjski w nabożeństwie dodatkowym. Wprawdzie wielu z nich cofnęło się później, gdy lud opór im stawiać zaczął, a Rzym postępowanie ich potępił, wprawdzie księża dzisiejsi wyżej stoją zapewne pod względem moralnym i obywatelskim, niż ich poprzednicy, ale znajdzie się sporo między nimi ludzi słabych i pobudkom osobistym uległych. Zrobią oni wszystko, czego rząd od nich zażąda, jeżeli będą mogli usprawiedliwić się przed własnym sumieniem chociażby wykrętnie objaśnianiem zezwoleniem swej zwierzchności duchownej. Rusyfikacja kościoła, gdyby w Rzymie otworzono jej furtkę, stałaby się sprawą bliskiej przyszłości, dalsze zaś następstwa tego wypadku dziś już nakreślić można.

Lud, który dotychczas opierał się stanowczo wprowadzeniu języka rosyjskiego do kościoła i nieraz ofiarą krwi stwierdzał niezłomną swoją wolę, omijałby splugawione, zdaniem jego, świątynie, a przekonawszy się o bezskuteczności protestów, w drugim i trzecim pokoleniu przechodziłby zaczął na prawosławie, zapewniając mu przywileje i korzyści materyalne. Powtórzyłaby się znowu smutna historia Unitów. »Żeby było wówczas z katolicyzmem Polski« — powiada wspomniany przez nas autor, ks. Przybyszewski. »Arystokracja częścią wyemigrowała by z kraju dla szukania większej wolności sumienia za słupami granicznymi Rosyi, szlachta i inteligencja dla schronienia się przed schyzmą rzuciłyby się w objęcia protestantyzmu, a biedny lud polski, pozostawiony sam sobie, nie wiedziałby, czego się trzymać i co uważać za prawdę«. »Cały naród polski uważałby się ostatecznie opuszczonym i zawiedzionym przez Ojca świętego«.

Jeżeli tak śmiało przemawia ksiądz poważny i doświadczony, jeżeli zabiera głos w tej chwili, to widocznie istnieje niebezpieczeństwo, którego lekceważyć nie można, ani odpędzać ufnością w mądrość i miłość Kuryi. Niepodobna w artykułach dziennikarskich wykazywać szczegółowo, jakie następstwa miałyby dla kościoła katolickiego powolność Rzymu dla zamiarów rządu rosyjskiego, nie jesteśmy zresztą biegli w tym względzie. Ale zawczasu pisma polskie powinny odważnie i stanowczo wyrazić zdanie ogółu naszego w danej sprawie i pobudzić tych, których głos i wpływ w Rzymie zaważyć mogą, do energicznego wystąpienia przeciw rokowaniom dyplomatycznym, które wyrządzić mogą kościołowi szkody nieobliczone. Idzie tu o nasz interes narodowy, który niejednokrotnie, zwłaszcza w ostatnich czasach, narażaliśmy dla sprawy kościoła. Uległość nasza była powodem, że za mało liczono się z nami w Rzymie w sprawach, które nas bezpośrednio dotyczą. Jeżeli Kurya uwzględnia interesy rządów, to i nasze interesy narodowe tymbardziej uwzględniać powinna i nie może bez nas wyrokować, co jest dla nas pożytecznym, a co szkodliwym.

LUD WIEJSKI W KRÓLESTWIE KONGRESOWEM WOBEC RZĄDU I JEGO USIŁOWAŃ.

II.

Samorząd wiejski. Pisarz gminny, rola jego w gminie. Straż ziemska. Stosunek ludu do strażników. Naczelnicy powiatów, ich charakterystyka i stanowisko względem samorządu gminnego. „Zli“ i „dobrzy“ naczelnicy. Uległość władz gminnych. „Dobrowolna ofiarność“ mieszkańców i sztuczne objawy lojalności. Komisarze włościańscy. Ich rola dawniej i obecnie.

Przejdźmy do następnej grupy stosunków naszych, mianowicie do *administracji* kraju, o tyle rozumie się, o ile posiada ona bliską styczność z ludem. Wiadomo, że ukaz z r. 1864 obdarzył ludność włościańską znacznym samorządem, wytworzywszy wybieralne organy — *wójtów i sołtysów* jako władze wykonawcze, oraz *zebrania gromadzkie i gminne*, posiadające dość szeroki zakres w stanowieniu i przeprowadzaniu lokalnych spraw gospodarczych. Wykonywana ściśle, szanowana w każdej literze, ta ustawa liberalna samorządu wiejskiego mogłaby przynieść znaczne korzyści ludowi, tworząc dla niego początkową szkołę życia społecznego, a w części nawet i politycznego. Przez 30 przeszło lat istnienia samorząd taki mógł być wyrobić u nas pokolenie całe rozumnie, prawdziwie uspołecznionych członków gromad wiejskich i małomiasteczkowych, członków, pojmujących gruntownie potrzeby swoje, znających prawa i obowiązki swoje. Do tego, oczywiście, rząd rosyjski dopuścić nie chciał: samorząd liberalny miał pozostać martwą literą, przy szumnej formie pozbawioną zupełnie treści.

Żeby dopiąć tego celu, należało przeciwstawić szereg organów państwowych nieobieralnych, mogących swoją powagą i zakresem władzy paraliżować rozwój instytucji samorządu. Ustanowiono tedy całą hierarchią administracyjną, trzymającą w silnych kleszczach naszą autonomią gminną, przez co ta zamieniła się w śmieszny parodię. Najważniejszymi organami, działającymi w tym kierunku są: przedewszystkiem *pisarz gminny i strażnicy*, dalej zaś *naczelnik powiatu i gubernator*.

Pisarz gminny formalnie jest całkiem podrzędną figurą, jest najemnikiem gromady, która ma prawo go wybierać, kontrolować i zawieszać. W rzeczywistości jednak nigdy do tego się nie dopuszcza i pisarz jestznaczany z urzędu przez naczelnika powiatu, od niego w zupełności zależny, obowiązany być jawnym, a w części i tajnym kontrolorem wójta i zebrania gromadzkiego ze strony państwa. To też jestto prawdziwie potężna jednostka w gminie. Jeżeli nie inteligentny, to zazwyczaj sprytny, posiadający przytem dość znaczną rutynę kancelaryjną, jest on pierwszą sprężyną, od której zależy, o którą opierać się muszą wszystkie sprawy gminy. Jednocześnie, jako wychowanek kancelaryi rosyjskich, a zarazem licho płatny oficyalista (od 150 do 250 rs. rocznie), jest to po większej części skończony łapownik. Szczególnie w tych częściach Królestwa, gdzie mieszka ludność mieszana — Rusini i Polacy — gdzie więc ponaczeczano pisarzy wyłącznie prawie Rosyan lub zrussyfikowanych unitów, tam łapownictwo ich dochodzi do niesłychanych rozmiarów. Znałem takiego pisarza w lichej osadzie gub. siedleckiej, który w ciągu 8 lat urzędowania zdołał zebrać 10.000 rubli!

Zapewne, że i wśród pisarzy trafiają się ludzie uczciwi, ale znaczna większość, zrekrutowana z lichej kategorii popychadeł kancelaryi powiatowych, stanowi

prawdziwą plagę ludu, nie tylko ssącą przy każdej sposobności jego kieszeń, ale demoralizującą go na każde skinienie naczelnika powiatu. Ale też, ile nienawiści lud nasz żywi wszędzie względem tych swoich pierwszych przedstawicieli władzy wyższej, ten tylko może wiedzieć, kto, jak piszący te słowa, lata całe mieszkał na wsi i miał z tem wszystkim wciąż do czynienia.

Drugim poważnym przedstawicielem władzy w obrębie gminy jest *strażnik*, członek organizacji wojskowej, nazwanej »strażą ziemską«. Jeżeli jest starszym w »*czynnie*«, nazywany bywa wachmistrzem, ma on do pomocy jednego lub paru młodszych. Rosyjanie lub Rusini, gdzie-niegdzie tylko jeszcze Polacy, nie są to zwyczajne »*stupałki*«, spełniające wyłącznie polecenia »*naczalstwa*«, ale mniej lub więcej sprytni wywiadowcy, pilnujący wszystkich mieszkańców swojego udziału. Taki strażnik zna osobiście każdego mieszkańca gminy, jego stan majątkowy, sprawy rodzinne, a przedewszystkiem jego sposób myślenia i postępowania. Otaczając szeroką opieką księży, większych właścicieli ziemskich czyli tz. obywateli, oraz studentów, przebywających czasowo na wsi, strażnicy są jednocześnie kontrolorami sumienia politycznego i prawomyślności politycznej wszystkich mieszkańców.

To, co gdzieindziej jest głównym zadaniem straży ziemskiej, t. j. pilnowanie porządku, tropienie złodziei i t. p., u nas schodzi na plan drugi. Taki Jakowlew z procesu Kiryzenki, sam złodziej i ukrywacz złodziei, jest u nas bardzo pospolitym, choć może nie zawsze tak cynicznym typem. Pierwszym obowiązkiem strażników jest śledzenie wszelkich objawów »*niebłagonadziełności*« i komunikowanie o tem raportów naczelnikowi powiatu. Komiczną bywa pod tym względem emulacja straży ziemskiej i żandarmeryi, role ich bowiem na tym punkcie schodzą się zupełnie — i lękając się jedni drugich, tem gorliwiej wężą po karczmach, chatkach, kościołach, pośród parobków i oficyalistów dworskich, a nawet wśród dzieci, uczęszczających do szkoły. Dodawszy do tego nieposkromioną niczem brutalność żołdacką w obojętności z ludem, łatwość i bezkarność nadużywania swej szerokiej władzy, wzięwszy pod uwagę owo oryginalne prawo, że policyjant skarżący w sądzie, staje jednocześnie jako świadek wiarogodny w swojej własnej sprawie, to pojmiemy, jakim biczem bożym dla każdego mieszkańca wsi czy miasteczka jest taki pan strażnik. W czasach ostatnich, w kilku guberniach wyszły na jaw liczne, już nie nadużycia, ale wprost zbrodnie strażników, które nawet sąd rosyjski widział się zmuszonym surowo ukarać.

Wobec tego wszystkiego dziwić się nie można, że chłop przekleństwem wita takiego »ruska«, »burka«, starając się jednocześnie ułagodzić go czapką, papką i pieniędzmi, a szczególnie wódką, która stanowi wypróbowaną broń odporną, zwłaszcza względem »czysto *ruskich* ludzi«. Określenia: złodziej, łajdaczyzna, pijanica, pies, wesz dokuczliwa itp. są pospolitymi epitetami, jakie lud nadaje tym groźnym, ale jednocześnie pogardzanym cerberom państwowego porządku, zaś setki spraw o obelgi strażnikom wyrządzane, a nawet o ich pobicie przez lud, są najlepszym dowodem stosunku jego do tych »urzędników«.

Prawdziwym wszakże potentatem administracyjnym jest dopiero naczelnik powiatu, istny samowładca, rządzący absolutnie dziesiątkami tysięcy dusz. Na obszarze Królestwa mamy... takich drobnych satrapów, starających się z odpowiednią przesadą naśladować typy wielkorządców gubernialnych. Są to najczęściej ofice-

rowie niższego stopnia, kapitanowie, rzadko już pułkownicy, którzy różnemi drogami postarali się o posadę naczelnika powiatu. Rozumie się, taki pan początkowo nie ma zupełnie pojęcia o sprawach powiatu, a częstokroć i potem go nie nabiera, wyręczając się we wszystkim referentami powiatowymi. Jest to stosunek zwykły i o ile referentem jest człowiek uczciwy i zdolny (dotąd najczęściej Polak) — dość znośny.

Zdarzają się niekiedy i pomiędzy naczelnikami niezli administratorowie, ale i u nich dodatnia działalność nie przekracza pilnowania stanu dróg i mostów, energicznego ściągania podatków, poboru wojskowego i t. p. Przedewszystkiem jednak, cała działalność i uwaga naczelnika powiatu skierowana jest przeciwko organom samorządu wiejskiego — wójtom i zgromadzeniom gminnym. Naczelnik powiatu właściwie kieruje wyborami na wójta, sołtysa, sędziów gminnych i ławników; on pilnuje, żeby nie przemknął się kandydat niepożądany dla władzy; w razach ważniejszych naczelnik osobiście przewodniczy zebraniu i dyryguje według własnej woli głosowaniem. Wobec władzy naczelnika powiatu śmieszną komedią stają się nasze autonomiczne zebrania wiejskie i uchwały gromadzkie, bądź dyktowane wprost przez samego pana naczelnika lub inspirowane przez pisarza, bądź też przez tegoż naczelnika dowolnie uchylane. Służy wprawdzie gromadzie prawo apelacji do gubernatora, lecz nikt jej nawet nie próbuje, wiedząc naprzód, że przebrać musi.

Niezależnie od swych istotnych obowiązków, każdy naczelnik, z samej natury swego stanowiska, stara się być przedewszystkiem „*ruszkim diejatielom*“, prowadzącym na własną rękę politykę rozkładową. Jeden jeździ kibitką z kuczerem w czerwonej *rubaszce*, inny z własnej inicjatywy przemalowuje szyldy i rusyfikuje tabliczki na rogach ulic, ów bywa na zebraniach publicznych po dworach, na kartach i polowaniach, starając się w ten sposób przyzwyczaić polskie towarzystwo do „rosyjskiego ducha“. Niektórzy, mianowicie na Rusi, demokratyzmem rubasznym i udawaniem patryotyzmu rusińskiego, starają się kaptować dla prawosławia niepokornych unitów. Wogóle jednak najwięcej jest działaczy „à la Kirycczenko“, operujących również z pomocą żydków i pisarczyków, zwłaszcza w złotych chwilach poboru wojskowego.

Lud odróżnia zazwyczaj dwa typy tych swoich groźnych władców: dobry i zły naczelnik powiatu. Dobry — jest to taki, który nie dokuca zbytnią formalistyką, mało zajmuje się powiatem, wreszcie pozwala trafić do siebie ubocznemi drogami. Złym jest natomiast typ powiatowego Klejgelsa, który nos we wszystko sam wsadza, setki rozporządzeń, mniej lub więcej niewykonalnych, wydaje, a za nieposłuszeństwo, niedbalstwo nakłada grzywny administracyjne.

Dla wójtów, sołtysów i pisarzy naczelnik jest groźnym bożyszczem, które, słusznie czy niesłusznie, może każdego z nich wsadzić na kilka dni do kozy, publicznie zwymyślać, a wreszcie zupełnie zdegradować. Strach tych ludzi dochodzi wprost do ośłupienia. Gdy w roku zeszłym zmieniano naczelnika w jednym z powiatów, inspirowano wójtów (katolików), żeby mu na pamiątkę kupili obraz Mikołaja Cudotwórcy, ci nie tylko to uczynili, ale zaproszeni przez uprzejmego tym razem pana naczelnika na nabożeństwo dziękczynne *w cerkwi*, przybyli co do jednego. I cóż wobec tego mówić o różnych składkach na pomniki, obrazy, tace itp. dowody lojalności, zazwyczaj inicjowane i z całą bezczelnością przeprowadzane przez tych wszechwładnych kacyków?

A potem figurują te składki, jako »dobrowolne ofiary wierno poddanych mieszkańców powiatu N. N., złożone na pamiątkę cudownego ocalenia pociągu cesarskiego pod Borkami«, pisze się szumne artykuły »o gorących, a szczerych objawach uczuć wierno poddańczych ze strony mieszkańców takiej a takiej gminy w radosnym dniu świętej koronacji« itp. Nikt wszakże nie zna tak dokładnie genezy tych wierno poddańczych ofiar i szczerych uczuć, jak śmiejący się z nich »w kulak« zręczni aranżerowie z biur powiatowych — i sami »wierno poddani«, od których te »ofiary« i »uczucia« cynicznie zostały wymuszone.

Z władz, pozostających w bliskim i bardzo ważnym stosunku z ludem, niepodobna pominąć trybunów ludowych, zwanych skromnie *komisarzami włościaniskimi*. W zasadzie jest to instytucja opiekuńcza dla ludu, stworzona w tym celu, żeby strzedz jego prawno-klasowych interesów wobec wszelkich możliwych zamachów t. zw. szlachty, a właściwie większych posiadaczy. W praktyce, w pierwszych szczególnie czasach istnienia, ci przez rząd powołani Gracchowie, prócz »urządzenia« włościan, zajmowali się głównie podjudzaniem ludu przeciwko szlachcie, niedopuszczaniem do żadnej zgody, paraliżowaniem wszelkich układów o serwituty i jak najbardziej stronem załatwianiem sporów między temi dwiema klasami na korzyść chłopów. Szlachta bała się, jak upiórów, tych rządowych jakobinów, między którymi rzeczywiście można było spotkać już nie tylko czerwonych liberałów, ale „*czuł — czuł*“ socjalistów.

W każdym razie, pomimo niezaprzeczonej szkody politycznej, jaką mógł nam wyrządzić tego rodzaju trybunał cesarski, przyznać trzeba, że lud w wielu razach wychodził na nim dobrze, chwalił go sobie i w każdym zajściu z dworem nauczył się do niego uciekać.

Dziś atoli stosunki te uległy znacznej zmianie. Spory gruntowe, graniczne pomiędzy dworem a gromadą, wszędzie prawie uregulowano, serwituty znikają z każdym rokiem w miarę upadku większej własności, która tym skłonniejszą staje się do ustępstw, im bliższą jest zupełnego bankructwa. Antagonizm klasowy, zamaskowany formą wolnego najmu, łagodzony przez całą skalę nieznaczących przejść od bezrolnego parobka do... bezmajątkowego faktycznie w wielu razach dziedzica — nie ma dla siebie wdzięcznego pola. Dawna rola komisarzy włościańskich w rzeczywistości jest już skończoną. Był nawet projekt zupełnego zniesienia tej instytucji, która bez przymieszki carskiej polityki, mogłaby nawet być sympatyczną — odłożono je wszakże na potem, zostawiając tymczasem komisaryat, jako posterunek rosyjski, jeżeli już nie faktycznie, to przynajmniej ideowo reprezentujący opiekę nad ludem ze strony rządu.

Dziś na stanowiskach komisarzy już nie spotyka się tylu »czerwonych« — za to są byli lekarze i przyszli cenzorzy, którym bardzo dobrze na tych ciepłutkich posadach: dbając więc o nie, raczej z przyzwyczajenia, niż z przekonania o praktycznej korzyści, bąkają chłopom o »dobrodziejstwach carskich«, a w wolnych chwilach, na których im teraz nie zbywa, zasilają *Warszawskiej Dniownik* i inne gazety rosyjskie patetycznymi artykułami na temat uciesionych „*mużyczkow*“ lub ciężkich warunków, w jakich pracować muszą bojownicy idei rosyjskiej na tych osamotnionych placówkach w niewdzięcznym „*Privislini*“.

S. K.

OŚWIATA LUDU W GALICYI.

Czytelnie ludowe.

II.

(Dokończenie).

Tak mniej więcej w głównych zarysach przedstawia się cztertnastoletnia działalność krak. Tow. oświaty ludowej. Znać w niej ostatnimi czasy pewne ożywienie, chęć wykazania większego ruchu, rwanie się do wyższych i szerszych lotów. Wyrazem tej tendencji jest między innymi świeżo zmieniony statut Towarzystwa, który od »Szkoły ludowej« przejął wypróbowaną organizację »kół miejscowych« i zapomocą t. zw. »oddziałów okręgowych« pragnie pociągnąć prowincję do żywszego, bezpośredniego udziału w pracach, celami »Oświaty« wskazanych. Przyszłość najlepiej okaże, czy nadzieje, jakie Wydział do tej zmiany przywiązuje, ziszczą się, czy nowa organizacja istotny pożytek instytucji przyniesie. Zależać to będzie przede wszystkim od ducha, jaki do niej wniosą ludzie, którzy, jeżeli się wogóle w dostatecznej liczbie znajdują, zechcą bezinteresowną pracę Towarzystwu poświęcić. Wiadomo, że nie zawsze, *si duo faciunt idem*, skutek bywa jednaki.

Mimoходом jeszcze dotknąć wypada dwóch kierunków działania, na które Wydział Towarzystwa poza głównymi zadaniami swemi, bacznią starą się zwracać uwagę. Od lat dziesięciu, prawie co roku, odbywają się w Krakowie staraniem »Oświaty«, bezpłatne wykłady, z najrozmaitszych dziedzin wiedzy, przeznaczone dla szerszej publiczności. Brak tym odczytom systemu, korzyść z nich jednak niewątpliwa, skoro w sprawozdaniach stale powtarza się wzmianka, że tematy, zwłaszcza historyczno polskie za każdym razem po kilkuset gromadzą słuchaczy. Już ten wzgląd przemawia dostatecznie za konieczną potrzebą utrzymania ciągłości odczytów. »Wzrastająca z każdym rokiem trudność pozyskania chętnych prelegentów«, na jaką skarży się Wydział, nie powinna być chyba zbyt wielką w Krakowie, roszczącym sobie niekoniecznie zresztą uzasadniony tytuł do zaszczytnego miana Aten polskich.

Pod zarządem i opieką Wydziału »Oświaty« pozostaje też krakowska szkoła dla sług żeńskich, założona w r. 1890 na wzór lwowskiej, istniejącej samodzielnie. Rok rocznie zapisuje się po dwieście kilkadziesiąt sług do tej szkoły, a około 50% zapisanych uczęszcza regularnie co niedzielę na naukę, w trzech oddziałach bezinteresownie udzielaną przez grono nauczycielskie, złożone z dyrektora, katechety i kilku nauczycielek. Program nauki obejmuje religię, język polski, rachunki, śpiew, oraz wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego i higieny. Z końcem roku szkolnego odbywa się publiczny popis uczennic, połączony z uroczystym rozdaniem nagród pilności, pieniężnych i książkowych. Bezpłatną wypożyczalnię książek, urządzoną przy szkole, zaopatruje Wydział z funduszków Towarzystwa; on też dostarcza wszelkich przyborów szkolnych. Doniosłość i umoralniający wpływ tego rodzaju zakładów wychowawczych są powszechnie uznane.

Bez porównania mniej faktycznego materiału do oceny dają inne Towarzystwa »Oświaty ludowej«, powstałe w Galicyi równocześnie prawie z krakowskimi. O prowincjonalnych niema i mowy, tylko jedno bowiem Towarzystwo tarnowskie zdobyło się ponoć na założenie dwudziestu kilku czytelni, o których wszakże istnieniu nikt bliższych wiadomości podać nie jest wstanie,

wszystkie zaś inne upadły, nie pozostawiając widomych śladów po sobie. Z tem większą natomiast pretensją zwrócić się można i trzeba do Towarzystwa Oświaty ludowej we Lwowie, które, choć równe wiekiem krakowskiemu, działalnością ani rezultatami, zarówno pod względem jakościowym jak ilościowym, tamtemu nie dorasta i zmierzyć się z niem niezdolne mimo, że dla spełnienia zadań tem poważniejszych w Galicyi wschodniej, bo nietylko kulturalnymi ale i narodowymi dyktowanymi względami, grunt lwowski uchodzi za bezwzględnie lepszy od krakowskiego, nie tak skażony ani wyjałowiony wstecznicstwem, podatniejszy wogóle do wszelkiej pracy, której wyższa myśl społecznego postępu przyświeca.

Lwowskie Towarzystwo »Oświaty« zaczęło pierwsze stawiać kroki wśród okoliczności, wróżących mu jak najpiękniejszą przyszłość. Zapał dla instytucji, mającej pochodnią światła rozpraszać ponurą ciemnicę strzech wieśniaczych, musiał być niemały, skoro już w rok po założeniu liczba członków urosła do 1082. Przez cały czas swego istnienia »Oświata« lwowska nie zaznała ani takiej poniewierki, jak pokrewne Towarzystwo krakowskie, ani takich walk stronnicych w swem łonie. A jednak, po nader krótkiej fazie dość szybkiego rozwoju, nastąpił długi okres powolnego cofania się i upadku, który do obecnej trwa chwili i smutno skończyć się może. Dzisiejszy stan instytucji jest z wielu względów godny ubolewania. Członków wytrwało przy niej zaledwie stu kilkadziesiąt, a i z tych nie wszyscy spełniają dobrowolnie na siebie przyjęty obowiązek czynnego popierania doniosłych celów Towarzystwa. Ogół społeczeństwa wcale się niem nie interesuje, jak gdyby o istnieniu jego nie wiedział. Kierownictwo instytucji spoczywa w ręku ludzi, niewątpliwie osobiście zacnych i »porządnych«, nie zdolnych wszakże, czy nie chcących zrozumieć, że działalność ich, a raczej bezczynność przynosi Towarzystwu szkodę. Wydział nie odświeża się nowymi, młodszymi siłami: złożony w przeważnej części z osób hołdujących wzajemnej adoracyi, a mając na czele swem prezesa, z którego przeważna większość członków była i jest niezadowoloną, który jednak pomimoto utrzymuje się stale przy sterze instytucji, rokrocznie na nielicznych Zgromadzeniach »ponownem obdarzany zaufaniem«, — właściwą działalność swoją do mikroskopijnych ogranicza rozmiarów, najsluszniejsze zarzuty zbywa ogólnikami, na głosy niezależnej, choć życzliwej Towarzystwu opinii wcale nie zważa i znajdując zawsze wśród ogółu członków dostateczny zastęp takich, którzy po za pustym frazesem »szczerze postępowych zasad« nie są wstanie dojrzeć niedołęstwa i błagi, a osobistemi stosunkami do członków Wydziału zbliżeni, ślepo w obronie jego stawać gotowi, zamyka ostatecznie wszelką drogę naprawie niezdrowych stosunków, jakie się w Towarzystwie wytworzyły. Niedbale i szablonowo układane doroczne sprawozdania nie dają pojęcia o prawdziwym stanie rzeczy: pomija się w nich sprytnie wszelkie objawy zaniku i niedokrewności instytucji, odsuwa się od Wydziału troskliwie odpowiedzialność za jej stopniowy upadek, zamilcza się o czytelniach, które w ciągu lat pozabawione opieki i zasiłków, poznikały, a jednak przez długi czas jeszcze figurują w wykazach jako istniejące, wreszcie najbardziej interesującą kwestyę wewnętrznego ruchu, jaki w czytelniach i bibliotecznych panuje, zatławia się z reguły stereotypową wzmianką, że »wszystko dobrze«, wzmianką, która żadnemu nie poparta dowodami, nikogo przekonać nie może. Dawniejszymi laty, gospodarka Wydziału bywała nieraz przedmiotem gorą-

cych protestów na walnych zgromadzeniach, tradycją jednak uświęcona zasada „*naj bude jak burwało*“ wychodziła z nich zawsze zwycięsko, wszelka przedmiotowa krytyka stała się z czasem niemożliwą, każdy głos śmielszy spotykał się natychmiast z zarzutem »rozkładowych, antinarodowych tendencji«, w końcu żywioły energiczniejsze, zrażone bezowocnością wszelkiej akcyi, podejmowanej w celu zreformowania Towarzystwa, pousuwały się, a w »Oświacie« nic się nie zmieniło na lepsze.

W takich warunkach działalność lwowskiego Towarzystwa, dobrowolnie w ciasnych zamknięta granicach, musiała wydać rezultatów niewiele. Biorąc nawet za podstawę oceny cyfry w sprawozdaniach podane, choć z wymienionych powodów niezupełnie wiarygodne, trudno zachwycać się tym dorobkiem kilkunastoletniej pracy i zabiegów. Głównym środkiem działania instytucyi jest zakładanie czytelní, wypożyczalni bezpłatnych i bibliotek ludowych. Do roku 1888 ograniczono się przytem wyłącznie do Lwowa i najbliższej okolicy, w następnych latach dopiero terytoryalny zakres działalności rozszerzono, szczególnie w stronę Podola i dorzecza Prutu. W ciągu dziesięciolecia powstało staraniem »Oświaty« lwowskiej około 200 bibliotek, w tej liczbie kilkanaście czytelní we Lwowie i prowincjonalnych miasteczkach. Ogólna suma dzieł ludowych, w tym samym okresie biblioteczkom i czytelniom dostarczonych, wynosiła około 30.000. Minimalne to cyfry w stosunku do olbrzymich potrzeb, jakie Galicya wschodnia pod względem kulturalno-narodowym przedstawia, niemniej w uwzględnieniu zasobów Towarzystwa, które jakkolwiek z własnej przeważnie winy utraciło sympatyę ogółu społeczeństwa, otrzymuje wszakże stałe, wcale hojne zasiłki od Sejmu (1000 zł.) i innych publicznych instytucyi.

Kierownikami bibliotek, zakładanych ze Lwowa, są po największej części, podobnie jak w Tow. krakowskim, nauczyciele i nauczycielki, w pewnej, stosunkowo nieznacznej liczbie także księża, gdzie indziej sami właściciele, naczelnicy gmin. W jednym tylko kierunku lwowska instytucja wyprzedziła krakowską, mianowicie przez zakładanie bibliotek w koszarach dla żołnierzy. Wypożyczalnie takie mogą do pewnego stopnia osłabiać niepożądany wpływ t. zw. ducha wojskowego i przeciwdziałać szerzeniu się wykoszlawionych pojęć, jakie służba wojskowa wpaja w żołnierzy, a które później za pośrednictwem urlopników rozchodzą się między ludem. Kilka bibliotek koszarowych istnieje dotąd, o ile wiadomo, we Lwowie i jedna w Samborze — wszystkie rozwijają się pomyślnie i chętnych znajdują czytelników. Z wielu względów życzyliby wypadało, żeby każdy pułk posiadał przynajmniej po jednej wypożyczalni tego rodzaju.

Zresztą, jak zaznaczyliśmy wyżej, w działalności lwowskiego Towarzystwa oświaty ludowej trudno dopatrzeć się rysów szczególnie interesujących. Ostatnimi czasy zwiększyła się nieco liczba czytelní i bibliotek wiejskich, uznano również potrzebę obfitszego ich wyposażania. Podobnie jak w Tow. krakowskim spotykamy się i tu z zasadą narzucania czytelniom peryodycznych piśmierek ludowych, przeważnie bezbarwnej „*Niedzieli*“, która widocznie ma między członkami Wydziału wpływowych protektorów. Czytelnie lwowskie i prowincjonalne miejskie posiadają także pisma codzienne.

Kilka lat temu niezadowolenie, jakie wywoływała połowiczna i żółwia działalność lwowskiej »Oświaty«, znalazło widomy wyraz w utworzeniu się osobnej

instytucyi, pod nazwą »Towarzystwa przyjaciół oświaty« we Lwowie, o celach pokrewnych, z szerszym jednak zakresem działania i z barwą wybitnie postępową. Około patryotyczno ludowego sztandaru skupił się tu w krótkim czasie wcale znaczny zastęp ludzi, przeważnie młodych, energicznych, ożywionych zapałem do pracy. Zdawało się przez chwilę, że istotnie nowa era dla oświaty ludu w Galicyi świtać zaczyna, że młoda, pełnem życiem tętniąca instytucja na nowe ją popchnie tory. Niestety chwila ta trwała niedługo. Wyczerpująca walka z władzami rządowymi, które w Towarzystwie przyjaciół oświaty upatrując niesłusznie ognisko wichrzeń, porządkowi społecznemu wrogich, nie szczędziły mu na każdym kroku szykan i przesładowań, stargała wnet siły wiele obiecującej instytucyi i przedwcześnie położyła kres jej istnieniu. Jedyną po sobie pamiątkę, trwałą a chlubną, pozostawiło Towarzystwo przyjaciół oświaty w kilku wydawnictwach ludowych, istotnie cennych i pożytecznych.

Wzmianką tą kończymy nasz pobieżny przegląd, którego celem było ujęcie w całość i ogólne scharakteryzowanie najważniejszych kierunków i dróg, jakimi t. zw. »oświata ludowa« w Galicyi, reprezentowana głównie w trzech instytucjach o szerszym zakresie, rozwija się i postępuje naprzód. Że postępuje, tego nikt zaprzeczyć nie może, ale i to faktem niewątpliwym, że wobec na ogół korzystnych warunków, jakie Galicya w ostatnich kilku dziesiątkach lat dla rozwoju społecznego kulturalnego przedstawia, postępy są niesłychanie słabe, powolne, ledwie widoczne. To, co zrobiono dotąd, jest bezsprzecznie najdrobniejszym minimum tego, co przy dobrej woli, przez ćwierć wieku jakiej takiej swobody, można i trzeba było zdziałać.

Ogół inteligencji galicyjskiej dziś jeszcze, mimo że »oświatę« każdy ma na ustach, zdradza zadziwiająco i zawstydzająco obojętność dla umysłowych potrzeb ludu. Zdaje się, że jednej z głównych przyczyn tego smutnego objawu szukać należy w tem, że w Galicyi wszystkie niemal instytucje, mające lud oświecać, zrażone są powszechną manią politykowania i pragnąc od razu »oddziaływać« na tenże lud w duchu zasad politycznych pewnego stronnictwa, odstręczają od siebie każdego, kto zasad tych nie podziela. Tymczasem oświata we właściwym tego słowa znaczeniu z »robieniem polityki« nie ma wspólnego i bez »oddziaływania« bezpiecznie obejść się może, tem bardziej, że »oddziaływanie« takie zazwyczaj żadnego nie odnosi skutku. Towarzystwa oświaty ludowej w Galicyi zażywałyby nierównie większej, niż dziś, powagi, cieszyłyby się niewątpliwie powszechniejszą sympatyą i uznaniem, gdyby nie były agencjami stronnictw politycznych, gdyby dawały u siebie miejsce i możliwość współdziałania ludziom, których dzieła wprawdzie różnice przekonań politycznych i zasad, łączy atoli jedna, wszystkim wspólna troska o lepszą przyszłość ludu i narodu, gdyby wreszcie unikały starannie nawet pozorów stronnictwozości, bezwarunkowo szkodliwych, jakie mieszczą się n. p. w bezpłatnem nasyłaniu czytelniom ludowym czasopism, wydawanych z pewnym, określonym, politycznym programem.

Nie należymy z pewnością do tych, którzy pragnęliby, żeby lud żadnych zgola, a w szczególności politycznych nie czytał gazetek, przeciwnie, uważamy je za dzielny środek oświadczenia i uobywatelania mas, środek, stosunkowo prędszy i skuteczniejszy nawet niż książka prowadzący do celu, znając wszakże wartość wszystkich bez wyjątku ludowych piśmierek peryodycznych w Galicyi, z których jedno jedyne tylko trzyma się od

polityki zdala, wiedząc z doświadczenia i z osobistych spostrzeżeń, jakie gazetki lud sam czyta najchętniej, a jakie wbrew jego woli nieraz bywają mu narzucane, twierdzimy z całą stanowczością, że praktyka dotychczasowa jest niewłaściwą i błędną, a dla obu stron byłoby lepiej, gdyby Towarzystwa nie wdając się w nie-swoje rzeczy, zupełnie zaniechały wydawania stosunkowo znacznych kwot, jakie pociąga za sobą prenumerata politycznych pisemek dla czytelników.

Wydawnictwa żadnego przez to nie poniosą uszczerbku, bo każda gazетка znajdzie zawsze czytelników, byleby tylko umiała przemawiać do ludu w sposób dla niego zrozumiały i czynić zadość rzeczywistym jego umysłowym potrzebom. Rozbudzona przez wpływ książek w czytelnictwie i bibliotekach chęć do czytania, wytwarza z czasem wśród włościan popyt na pisma per-yodyczne tak wielki, że nie otrzymując ich skądinąd darmo, sami własnym kosztem, najczęściej zbiorowem siłami sprowadzają je sobie i w miarę wyłożonych na nie ofiar pieniężnych w tem większym mają poważaniu, tem uważniej, skwapliwiej czytają. Dlaczego koniecznie osłabiać w ludzkiej zdrową zasadę samopomocy? Gdyby zresztą w Towarzystwach oświaty zyskał uznanie pośredni system przejściowy, gdyby n. p. jako regułę przyjęto jednorazowe zaopatrzenie każdej nowopowstałej czytelnicy w kilka pisemek, różniących się zasadniczo co do kierunku politycznego, pozostawienie zaś na przyszość samym czytelnikom wyboru gazetki do zaprenumerowania, stwierdziłoby się wówczas ponad wszelką wątpliwość, że w przeważnej liczbie wypadków najmniej do przekonania ludu trafiają te właśnie pisemka, które za najważniejsze dla niego uważają sfery, kierujące »oświatą«.

Towarzystwa zaś, pilnując wyłącznie istotnych swych zadań kulturalnych, nie troszcząc się o urabianie politycznego społecznego poglądów i przekonań, które nie do nich, a do samego ludu należy, zyskałyby na tem może najwięcej: nie ścierałyby na siebie uzasadnionego dziś zarzutu protegowania pism ludowi niemiłych, nie-żytecznych a nieraz nawet szkodliwych, zjednywałyby sobie większe zaufanie i powagę, z drugiej zaś strony nie rozprasząc swych zasobów, mogłyby skuteczniej służyć właściwym, zasadniczym swym celom, obficiejszemi książkami zasilać czytelnictwo, wydatniej popierać ich rozwój, który dziś w wielu jeszcze kierunkach, ale w dwóch naszym zdaniem głównych, niedomaga i chrama.

Przedewszystkiem usilnie starać się należało o wypełnienie dotkliwych braków, jakie pod względem jakości odsłania nasza literatura ludowa, galicyjska szczególnie. Nie wdając się narazie w wyczerpujące omawianie tej kwestyi, wcale nie obojętnej, stwierdzamy jedynie fakt, powszechnie zresztą uznany, że wśród powodzi najrozmaitszych wydawnictw, mniej lub więcej popularnych, do nader rzadkich ciągle jeszcze wyjątków — *rari nantes in gurgie vasto* — zaliczyć można książki treścią i sposobem pisania zasługujące na miano prawdziwie »ludowych«. Konkursy, ogłaszane od czasu do czasu na oryginalne utwory, zazwyczaj mijają się z celem, przynoszą zawód i rozczarowanie, a realnemi nabytkami piśmiennictwa ludowego nie wzbogacają. Wobec tego za szczęśliwą uznać trzeba powziętą przez Wydział krakowski Towarzystwa oświaty ludowej myśl urządzania dla ludu tanich wydawnictw dzieł znakomitszych polskich pisarzy, niekoniecznie popularnych, przystępnych jednak dla szerszych warstw społeczeństwa. Wykonanie tego zamiaru ułatwia dość znaczny, wyłącznie na cele wydawnicze przeznaczony fundusz, którym Towarzystwo

rozporządza, jest więc nadzieja, że naglącej potrzebie częściowo przynajmniej stanie się w niedługim czasie zadość.

Rychłego również załatwienia i uregulowania domaga się sprawa kierowników bibliotek wiejskich, od których pomyslny rozwój czytelnicy »oświaty« bodaj czy nie w najwyższym stopniu zależy. Jak wiadomo, kierownictwo czytelnicy spoczywa przeważnie w ręku nauczycieli ludowych, którzy na ogół chlubnie wywiązują się z swego zadania, mimo że urząd ten, jako honorowy, sprawiają bezinteresownie. Sądzymy, że w dobrze zrozumianym interesie samych Towarzystw godziłoby się jednak pomyśleć o częściowem choćby i skromnem wynagradzaniu szczególnie gorliwych kierowników-nauczycieli, boć trudno żądać poświęceń od ludzi, którzy ciężką pracą o nędzny byt walczyć i w nader twardych z reguły warunkach przez życie przebijają się muszą. Platoniczne uznanie ich usług nie załatwia jeszcze kwestyi całkowitej. Wobec gorliwych, energicznych, duszą całą czytelnictw oddanych kierowników Towarzystwa zaciągają dług, obowiązujący co prawda moralnie, godzien wszakże i materialnego uiszczenia w formie nagród, udzielanych w miarę zasług jednej, a w granicach finansowej możliwości drugiej strony. Wyszukanie potrzebnych na to środków, przy dobrych chęciach, nie powinno zbyt wielkich przedstawiać trudności, a wydatki opłaciłyby się sownie, stwarzając silną podniechęć do pracy i szlachetnego współzawodnictwa, podniechęć, wszędzie i zawsze pożądaną, a tu wprost niezbędną.

Zawisza.

Z CAŁEJ POLSKI.

Polemika w prasie rosyjskiej. Rząd i mieszczaństwo. Zlot Sokółów w Poznaniu. Sprawy śląskie. Wyklęcie ks. Stojałowskiego.

Polemika w sprawie polskiej a raczej w sprawach polskich nie ustaje dotychczas w dziennikarstwie rosyjskiem. Nie jest ona bez pożytku dla wyrabiania opinii publicznej, bo nietylko czytelnicy rosyjscy, ale i nasze społeczeństwo dowiaduje się wielu rzeczy nowych i ciekawych z tych wyznań mimowolnych i sporów. Dziennikarze bowiem w zapędzie polemicznym wygłaszają czasem szczere zdania o rzeczach i sprawach, które *tacito consensu* traktowano dotąd w sposób umówiony, lub o których stale milczano.

Nowoje Wremia zamieściło niedawno list, o którym wspominaliśmy, charakteryzujący położenie włościan w Królestwie i krytykujący władze miejscowe, że za mało zajmują się tą klasą ludności, stanowiącą główną podstawę panowania rosyjskiego w Polsce. Na wywody błędne pisma petersburskiego tak odpowiada *Dniownik Warszawski*:

»Przedewszystkiem stereotypowy frazes: »ludność włościańska to siła, na której wspieramy się głównie w kraju nadwiślańskim«, należałoby już dawno złożyć do archiwum. Od roku 1864, kiedy puścili go w kurs niektórzy publicyści rosyjscy i kiedy pochwyliła go zagraniczna prasa polska, wyzyskując frazes ten z pewną tendencją, od tego czasu wiele rzeczy się zmieniło, a obecnie ludzie tylko nieobznajomieni wcale z teraźniejszym położeniem gubernij nadwiślańskich mogą przypuszczać, jakoby na zjednoczeniu z państwem rosyjskiem z pośród wszystkich sfer ludności nadwiślańskiej zależało jedynie włościanom tutejszym. My mamy prawo twierdzić, że na zjednoczeniu owem zależy w równym stopniu wszystkim sferom przemysłowemu kraju

i że cenić je musi każdy, kto w ten lub w inny sposób jest zainteresowany w rozkwicie przemysłu miejscowego, którego niebывały, kolosalny rozwój kresy tujejsze zawdzięczają wyłącznie zabiegom rządu. Prasa miejscowa nie uwydatnia tego wprawdzie dość wyraźnie, taka atoli postawa sfer przemysłowo-handlowych jest faktem, nie ulegającym żadnej wątpliwości».

Z powodu tej odpowiedzi wywiązała się polemika, w której p. Timanowski obszerniej wyłożył swój pogląd o ciężności klasy przemysłowej do Rosyi, ale go faktami i argumentami nie uzasadnił. Jakkolwiek dosyć otwarcie potępił *Dziennik* »stereotypowy frazes« o opieraniu polityki rządowej na ludzie, nie był jednak, i nie mógł być dosyć szczerym, żeby pogląd swój uzupełnić. Należało bowiem dodać, że »ze wszystkich sfer ludności nadwiślańskiej« włościanom i w ogóle klasom pracującym najmniej zależy na zjednoczeniu z Rosyą, a nawet, że to zjednoczenie jest dla nich najbardziej niepożądanem i z wielu względów szkodliwem, a nie im w zamian nie daje. Dawno już minęły te czasy, kiedy lud, bałamucony obietnicami demagogów rządowych, spodziewał się nowych łask i nadań. Dziś chłop rozumie, że rząd nic mu nie da i dać nie może, a w duszy jego zostać musiał pewien osad goryczy, jaki zawsze wytwarzają niespełnione przyrzeczenia, zawiedzione nadzieje. A co chłop ma ze »zjednoczenia z Rosyą«? Uciążliwą i drogą a lichą administracyę, która krępuje swym formalizmem wszelką samodzielność, a nawet znośnych dróg zbudować nie mogła, przedajną i leniwą policyę, szkołę, w której dzieci uczyć się muszą po rosyjsku i niczego wyuczyć się nie mogą, przesładowanie duchowieństwa i religii katolickiej, tanie ceny na zboża wskutek konkurencyi rosyjskiej i nizkie ceny pracy wskutek konkurencyi wojska i sprowadzanych do robót publicznych kacapów i t. d. i t. d.: Czy też może to go do »zjednoczenia« zachęca, że synowie jego służą w wojsku w obcym kraju, gdzieś na Kaukazie lub w Turkiestanie, że tam nieraz marnieją w ciężkiej służbie lub wracają zdemoralizowani? Zresztą ten chłop wyrósł już i dojrzał i — w znacznej mierze dzięki postępowaniu rządu rosyjskiego — czuje dziś, że jest Polakiem. Napróżno p. Markgrafskij pod własnym nazwiskiem i pod pseudonimem Nabludatiela usiłuje wykazać, że chłop »czuje się spokojnym, dlatego zbytecznym jest troszczyć się o udoskonalenie jego sposobu myślenia i reformę jego poglądów i przekonań politycznych«, że nie należy »wprowadzać zaburzenia w to środowisko«, nie należy zbliżać się do ludu »w celu rozbudzenia obcych tej sferze dążeń politycznych«. Te dążenia już są rozbudzone, o czem wie najlepiej p. Markgrafskij. Korespondent *Moskowskich Wiedomości*, którego zdanie w innym miejscu przytaczamy, jest szczerzym, fakty zresztą mówią dowodnie i te fakty z pewnością sprawiły, że opieranie polityki rosyjskiej na masie ludowej stało się nagle dla władzy »stereotypowym frazesem« i że oglądać się zaczęła na inne warstwy ludności, których interesy jako tako uzasadnić mogą dążenie do zjednoczenia z Rosyą.

Możnaby było powinszować politykom rosyjskim w Warszawie trafności wyboru, gdyby go dokonali byli wcześniej, gdyby się nie spóźnili przynajmniej o 15 lat. Istotnie około r. 1880 dążenie do zbliżenia czy nawet zjednoczenia się z Rosyą było wyraźnem i silnem w zachynającym się rozwijać wówczas mieszczaństwie kapitalistycznym i w klasie postępowej inteligencji mieszczańskiej. Dążenie to miało nawet swój program sformułowany i swoje hasło — podbój rynków wscho-

dnich. Ale właśnie w chwili, kiedy wyznawcy tego programu szukali drogi praktycznej dla jego wprowadzenia w życie, niespodziewanie w stosunku rządu do społeczeństwa naszego nastąpiła reakcja, która trwała przez całe panowanie Aleksandra III. Rząd przedsięwziął cały szereg środków, krępujących rozwój przemysłu polskiego, który musiał porzucić marzenia podboju obcych rynków i myśleć o zachowaniu swego bytu. Jeżeli teraz przemysł nasz się rozwija, to nie dzięki poparciu, ale wbrew zamiarom rządu. Najważniejsze jego gałęzie: górnictwo przemysł żelazny, cukrownictwo, mające trwałą podstawę w warunkach naturalnych kraju, mogą być w każdej chwili doprowadzone do ruiny układem taryf lub innemi dowolnemi zarządzeniami. W tej walce, jaką przez kilkanaście lat przemysłowcy nasi toczyć musieli z uciskiem rządowym i otoczonem opieką władzy współzawodnictwem rosyjskiem, wiele rzeczy zrozumieli oni i wielu się nauczyli, przedewszystkiem zaś poznali lepiej warunki zbytu i warunki współzawodnictwa. Dziś widać widocznie jest już dla każdego niebezpieczeństwo konkurencyi rosyjskiej na naszych rynkach, dzisiaj każdy pojmuje, że krępowanie inicjatywy, że brak urzędzeń pomocniczych są dla działalności przemysłowej, najważniejszą przeszkodą, której szkodliwości nie okupią perspektywy nowych rynków. Zresztą, właściwie tylko przemysł tkacki i poniekąd przemysł maszynowy zależne są w pewnej mierze od rynków rosyjskich. Wszystkie inne gałęzie naszego przemysłu rozwinęłyby się pomyslnie, porzostając na rynkach miejscowych i na tych naturalnych rynkach sąsiednich Litwy i Rusi, które dziś wydziera im przemysł rosyjski. Publicyści rosyjscy przeciwstawiają umyślnie Królestwo — całemu państwu rosyjskiemu, żeby wykazać korzyści »zjednoczenia«. Ale ci przecie, którzy »zjednoczeniu z Rosyą« są przeciwni, pragną zjednoczenia z Litwą i Rusią, z Galicyą i Pozańskiem i t. d., stanowiącemi aż nadto wystarczająco rynek dla wielkiego przemysłu Królestwa. Nie lubię błąkać się w krainie kombinacyi przypuszczalnych, musiałem jednak zapędzić się aż do niej, chciałem bowiem wykazać, że rozwój przemysłowy Królestwa nie jest wcale zależnym bezwzględnie od zjednoczenia kraju tego z Rosyą. Po wyjaśnieniu tej sprawy zasadniczej wróćmy na grunt realny.

Z t. zw. klasy przemysłowców nieliczni tylko przedstawiciele wielkiego przemysłu i kapitału ze względu na swoje interesy materyalne są zwolennikami polityki ugodowej. Pozostała część zamożnego mieszczaństwa jest wrogo względem rządu usposobioną i stanowi dotychczas żywioł opozycyjny. Niewątpliwie rząd rosyjski mógłby zjednać sobie tych opozycjonistów za cenę pewnych ustępstw, ale dzisiejsza akcja ugodowa na tem właśnie polega, że rząd chce brać wszystko, co uważa za potrzebne nie dając nic w zamian. Mieszczaństwo zaś za dużo ma zmysłu czy nałogu handlowego, żeby je można było w ten sposób pozyskać.

Jego patryotyzm opozycyjny nie wydaje się nam trwałym. Naprzód klasa przemysłowców i kapitalistów z natury swych zajęć i właściwości swego usposobienia skłonną jest do kompromisów i lęka się wszelkiego działania stanowczego, narażającego chociażby na chwilowe straty i niepokoje. Stosuje się to, chociaż nie w jednakowej mierze, zarówno do wielkich, jak do średnich i drobnych przemysłowców, nietylko u nas, ale w całej Europie. Powtóre nasze zwłaszcza zamożne mieszczaństwo składa się w znacznej części z żywiołów obcych, niedawno zasymilowanych lub asymilujących się dopiero. Poczucie narodowe musi być w warstwie

tej dosyć słabe, a co ważniejsza, nie ma ona ani tradycyi politycznej, ani żadnej przewodniej myśli politycznej. Polityka opozycyjna którą obecnie prowadzi, jest właściwie pustą frazeologią, nie obowiązującą do zgodnego z głoszonemi zasadami działania. Ale taką samą byłaby polityka ugodowa mieszczaństwa, gdyby na drogę kompromisu wstąpiło. Niewiele więc zyskałby rząd, gdyby na niem chciał się oprzeć.

Pamiętać zresztą trzeba że w dzisiejszym układzie społecznym zamożne mieszczaństwo ma już przeciwwagę w warstwie drobnych przemysłowców, a zwłaszcza w warstwie robotniczej i w rosnącym w liczbę i znaczenie zastępie inteligencji zawodowej. A chyba nawet p. Timanowski nie sądzi, że te żywioły pragną jakiegokolwiek zjednoczenia z Rosyą.

Niejednej pouczającej wskazówki w sprawie, o której mówiliśmy wyżej, dostarczyć mogą stosunki społeczno-polityczne w zaborze pruskim. Stan średni, który w tamtejszem społeczeństwie polskiem składa się właściwie z drobnych przemysłowców i wogóle z drobnego mieszczaństwa wystąpił w ostatnich czasach bardzo stanowczo przeciw polityce ugodowej. Dla wielu powierzchownych obserwatorów naszego życia był to wypadek niespodziewany. Z natury swego zawodu i usposobienia ta warstwa społeczna nie lubi wszelkiego niepokoju, dlatego polityczne jej dążenia miały pozory lojalizmu. Ale ta warstwa czuła też żywotność swoją, i kiedy zwątpienie, ogarniające coraz bardziej wyżyny społeczne, popchnęło pp. Cegielskich i Kościelskich na niebezpieczną drogę prób ugodowych, mieszczaństwo i pisma, wyrażające jego dążenia, energicznie przeciw tej polityce małodusznej zaprotestowały.

Zlot Sokołów w Poznaniu był poważną i znamieną manifestacją tej siły społecznej, którą dziś już przedstawia warstwa mieszczańska w zaborze. Wobec szyskan i przesładowań ze strony władz pruskich przebieg tej trzydniowej uroczystości był przedewszystkiem dowodem powściągliwej rozważli i tego spokoju, który tylko poczucie swej siły daje. Zlot Sokołów gniewał Niemców, a jednak do najmniejszej drobnostki nie mogli się przyczepić.

W pięknem przemówieniu prezes Sokołów poznańskich p. Rabski nadał tej uroczystości gimnastycznej znaczenie ogólniejsze. »Może mię spotka zarzut przesady — powiedział p. Rabski, — że skromnym w ciasnych granicach gimnastyki działającym Sokołem polskim przypisuję tak wielkie kulturalne znaczenie, lecz gdy tylko zdrowi ludzie mogą mieć zdrową literaturę, zdrowe życie społeczne i zdrowe dążenia narodowe, więc ten Sokół pielęgnujący na boisku siły fizyczne staje się potęgą ogarniającą szerokie dziedziny życia zbiorowego«.

Zaznaczywszy, że w krótkim przeciągu czasu ruch sokolski objął Prusy Zachodnie i Śląsk, mowca miał prawo zawołać: »Z krótkich tych dziejów sokolstwa, z tych kilku liczb statystycznych bije jakaś wielka otucha, a gdy się spojrzysz na setki mundurów naszych, którymi dzisiaj Poznań się zaroził, to dusza wzbiera poczuciem siły i bujnego życia. Nie na miejscu skromność fałszywa! W obec kraju całego powiedzmy otwarcie, że dumnym być może sokolstwo z dzieła, którego w tak krótkim dokonało czasie.

Przedstawiciele warstw wyższych nie biorą wcale udziału w ruchu sokolskim i nie zajmują się nim wcale, co jednak nie przeszkodziło kilku pismom klerykałnym zgromić p. Rabskiego, że w mowie swej wspominał o zwycięstwie idei demokratycznej i nazwał sokolstwo protestem zdrowych nizin społecznych przeciw zwyro-

dnieniu ducha i ciała. Nawet umiarkowany *Dziennik poznański*, który zresztą pod nową redakcyą p. Głębockiego coraz śmiejiej występować zaczyna, odpowiedział owym mentorom »że idea demokratyczna w naszym społeczeństwie tylko to jedno główne może i powinna mieć znaczenie: dążenie do rozszerzenia świadomości praw i obowiązków obywatelskich na wszystkie, a więc i najniższe warstwy społeczeństwa naszego. Pytam się, czy który Polak mógłby zaprzeczać prawa bytu wśród nas takiej idei demokratycznej? — czy chciałby kto twierdzić, że taka idea demokratyczna jest czemś, o czem w mowach publicznych wspominać się nie godzi?«

Udział Sokołów górnośląskich w tej uroczystości narodowej nadawał jej szczególne w stosunkach miejscowych znaczenie. »Całe serce« włożyli bracia wielkopolscy w powitanie przedstawicieli tej dzielnicy kresowej.

»Jeżeli wiosna jest symbolem sokolstwa, to Wy tej wiosny najpiękniejszym jesteście wcieleniem. Jak poranek wiosenny dusze Wasze świeże i słoneczne, a z czynów Waszych bije ta potęga zmartwychstającej natury, co bryły lodowe rozkrusza i nagie drzewa liściem zielonym okrywa. Stara macierz stęskniła się bardzo za synem górnośląskim — więc dziś, gdy po latach wielu wraca do jej kolan, wierny, kochający i silny, ona wyciąga ramiona i błogosławi dzieciececiu... Nie wesoło w tym rodzinnym domu! Postarano się o to, by zagasić wszystkie żywsze kolory zlotu naszego, lecz w tych cieniach sztucznych pali się jasno miłość«.

Ma się rozumieć, Niemcy z powodu pobytu Ślązków w Poznaniu rozprawiać znowu zaczęli o »wielkopolskiej agitacji«. Zjazd śląskich towarzystw nauczycielskich, który odbędzie się w pierwszych dniach września w Laurahucie, ma zastanawiać się nad sprawą »popierania niemczyzny w obec propagandy polskiej«. Referat w tym przedmiocie opracował niejaki Gresser, nauczyciel z Brzezinki, o którym niedawno pisma doniosły, że nawet po za szkołą nakazuje dzieciom mówić tylko po niemiecku i karze nieposłuszne. P. Gresser proponuje cały szereg środków w celu zwalczania agitacji polskiej. Ale te środki niewiele pomogą. Główną siłą, pędzącą tę agitację — powiada *Orełdownik* jest to, że lud polski zdobywa sobie coraz większą oświatę. Ruch ludowy polski na Górnym Śląsku popłynie dalej coraz szerszem korytem i pomimo wszelkich środków germanizacyjnych, albo może i wskutek nich właśnie będzie rósł w siłę i życie.

»Jak walka kulturalna spotęgowała w ludzie polskim uczucie katolickie, jak więcej przykuła go do Kościoła i religii, tak też — mamy tę niepłonną nadzieję, wszystkie te środki i środki germanizacyjne wskrzeszą w ludzie obywatela, który będzie wiedział, że jest Polakiem«.

Bywały już podobne przesładowania i przetrwaliśmy je szczęśliwie. To, co się dzieje obecnie w Prusiech Zachodnich i na Śląsku, jest powtórzeniem tego, co działo się niegdyś w Poznańskim. Wspomnienia ludzi starych, którzy różne csasy pamiętają, stwierdzają to dowodnie. A warunki były gorsze, bo lud nie miał jeszcze wówczas świadomości swych praw i obowiązków narodowych.

Rozbudzanie tej świadomości jest w naszym społeczeństwie najważniejszą pracą i największą zasługą obywatelską. Temu, kto obowiązek ten gorliwie spełniał, sąd przyszłości wiele win wybaczy, wiele błędów pobłażliwiej, niż współczesni, oceni. Pamiętać o tem trzeba, mówiąc o działalności ks. Stojalowskiego, na którego obe-

nie ogłoszono klątwę z dekretu kongregacyi rzymskiej i powszechnej inkwizycyi. Mylą się niewątpliwie ci, którzy sądzą, że działalność polityczna i społeczna ks. Stojałowskiego jest już wskutek tej klątwy skończoną. Nie uznaje on słuszności wyroku, kwestyonuje nawet jego prawomocność i wydał broszurę, w której imieniem swoim i ludu polskiego oświadcza, »nie pójdziemy do Canossy«. W imieniu ludu polskiego ks. Stojałowski przemawiać nie ma prawa, ale niewątpliwie zwolennicy jego do Canossy nie pójdą i nie wiele robią sobie z klątwy rzymskiej. Srodek, do którego przeciwnicy agitatora przywiązywali wielkie znaczenie, jest więc chybionym, a w polityce błąd, jak mówił Talleyrand, gorszy jest niż zbrodnia. Na jaką drogę, albo raczej na jakie bezdroża wejdzie i poprowadzi swych zwolenników ks. Stojałowski — powiedzieć trudno, bo nie podobna przewidzieć wybrków tej natury zuchwałej, namiętnej i oryginalnej.

Przeciw ks. Stojałowskiemu wystąpiliśmy z zarzutem najcięższym z tych, które go spotykały — z zarzutem współpracownictwa w piśmie urzędowym rosyjskiem i prowadzenia propagandy na rzecz Rosyi. Jakkolwiek rozumiemy, raczej odgadujemy pobudki psychologiczne, które go na te manowce popchnęły, jakkolwiek wiemy że działał nie dla korzyści osobistych lub podłego zysku ale zaślepiony nienawiścią, wynikającą z krzywd i przesładowań niesłusznych — z naszego stanowiska potępić musimy bezwzględnie jego postępowanie.

Ale nie możemy też uznać za właściwą, ani za sprawiedliwą kary, jaka go spotkała. Dekret kongregacyi inkwizycyi ogólnikowo wspomina o jego wykroczeniach, jako księdza, o ogłoszeniu » nauk, wiodących do schizmy (?) i przewrotu«, natomiast dosyć wyraźnie powiada o »pismach poważnych«, które ze skargami »do samej Jego Świątobliwości nadchodziły«. Nie jesteśmy kompetentni do ocenienia, czy ze stanowiska kościelnego ks. Stojałowski był w dostatecznej mierze winnym, żeby na niego taką surową karę nałożono, przypuszczamy, że wina jego była należyście zbadaną i ocenioną. Ale należy zaprotestować stanowczo przeciw mieszanemu się władzy duchownej, chociażby najwyższej do spraw politycznych, przeciw używaniu takich środków, jak klątwy kościelne w walce stronnictw. Z wyjątkiem *Kuryera lwowskiego* i kilku innych pism prasa polska na tę stronę sprawy nie zwróciła uwagi. Nawet pisma, które nazywają się liberalnymi i demokratycznymi, uciezione, złudną zresztą, nadzieją zgnębienia przeciwnika, którego własnym przemysłem i własną siłą zmóżdż nie mogły, z udaną pobożnością katolicką przytoczyły wyrok i oświadczyły, że ks. Stojałowski jest ostatecznie potępiony, zapominając, że ten wyrok jest przedewszystkiem zamachem na swobody obywatelskie. Ks. Stojałowski, którego stanowisko przed rzuceniem na niego klątwy mocno było już zachwianem, bodaj więcej zyskał niż stracił, bo ma teraz znowu dobrą i słuszną sprawę.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 27 sierpnia.

Przejazd carski. Cenzura i artykuły wiernopoddańcze pism warszawskich. Bolesna strata.

Najlepszym chyba dowodem, że ziemię polską tylko powierzchownie i formalnie złane zostały z Rosją, jest zachowanie się carów rosyjskich wobec nas i naszej stolicy.

Im więcej postępuje t. zw. *objedinienie*, im głośniejszą otębiają swe tryumfy działacze rosyjscy w dziennikach i w publicznych przemówieniach, tym mniej nam zaufania okazują »królowie polscy«, koronowani w Moskwie.

Nie dlatego to piszę, abym się uskarżał na ten brak zaufania, ale dlatego, że fakt jest znamieny i zasługuje na zanotowanie.

Dawniejsi carowie uważali sobie niejako za obowiązek stwierdzać swe panowanie w Polsce peryodycznymi odwiedzinami Warszawy. Czuli się oni tu dość bezpiecznymi, naturalnie, pod ochroną policyi i wojska, i wierzyli, że władzom uda się wywołać w mieszkańcach dość wiernopoddańczego zapału, ażeby odwiedziny wypadły mniej więcej przyzwoicie. Ojciec dzisiejszego władcy w początku swego panowania również nie omieszkał Warszawy odwiedzić; później atoli, w miarę rozwoju *„ruszka wo dieła na zapadnoy okrainie“*, skwapliwie począł korzystać z linii objazdowych, pozwalających mu omijać »gniazdo polskich intryg«, w drodze do Spały, bezpiecznego schroniska pod Skierniewicami.

Widocznie ten brak pociągu do Belwederu i Zamku królewskiego nie był osobistym kaprysem zmarłego poszukiwacza spokoju, którego twórcą pokoju nazwano, widocznie omijanie Warszawy uznali za potrzebne opiekunowie cara i właściwi rządcy Rosyi, kiedy i Mikołaj II nie uznał za możliwe przejechać się w otwartym powozie od Zamku do Łazienek, od króla Zygmunta do Sobieskiego, ale wolał przemknąć po za wałami Warszawy koleją obwodową. Odwiedzwszy po koronacyi Petersburg i Niżni Nowgorod, zapowiedziawszy swój pobyt w Kijowie, nie mógł się młody car zdobyć na złożenie nam wizyty w Warszawie, pomimo że mu na drodze do Wiednia leżała. Czysty przypadek jedynie, okoliczność ta, że w Warszawie kończą się europejskie drogi wąskotorowe, a zaczynają rosyjskie szerokotorowe, sprawiła, że pociąg carski trzeba było zatrzymać dla odpowiedniego ustawienia kół przez dwadzieścia minut na dworcu kolei nadwiślańskiej, i temu zawdzięczamy, że nasze wrzekome przedstawicielstwo narodowe, z p. Ludwikiem Górskim na czele, miało sposobność powitania »ukochanego monarchy«. Car i carowa zstąpili z wagonu na grunt... Pelcowizny, gdzie zastali licznie zgromadzonych przedstawicieli władz, wszystkie obecne w Warszawie osobistości, piastujące honorowe godności dworskie, wreszcie wielu przedstawicieli naszego obywatelstwa, znanych ogółowi z tego, że wzięli na swe barki ciężki obowiązek wykonywania »ugodowych« łamańców.

Prawdopodobnie fakt, że car na ukłony odpowiedział ukłonem, że raczył podać rękę p. Ludwikowi Górskiemu, ochmistrzowi dworu i widomej głowie t. zw. ugodowców, będzie podniesiony jako dowód, że tron nam sprzyja i że jesteśmy w przededniu ważnych zmian w stosunku rządu do nas, tymczasem atoli nic szczególnie ważnego nie zaszło, i Mikołaj II — o co mu, zdaje się, najwięcej chodziło — bez wypadku pojechał dalej, by po raz pierwszy ukazać się za granicą, jako cesarz rosyjski.

Jedną, ważną okoliczność przejazdu cara koło Warszawy podnieść tu należy. Zasługuje mianowicie na uwagę nacisk, jaki przy tej sposobności wywarła cenzura na prasę warszawską. Nigdy chyba cenzorzy nie byli tak wymagającymi i tak natarczywymi. Gdy dawniej w podobnych razach opiekunowie prasy zadawali się suchymi notatkami w rubryce wiadomości dworskich oraz powtarzaniem komunikatów i artykułów z *Warszawskiego Dniownika*, obecnie prezes komitetu cenzury postawił żądanie stanowcze, wyciączające wszelką możliwość wykręcenia się byle czem, ażeby każda redakcyja dała od siebie oryginalny artykuł, gorąco witający parę carską, podnoszący doniosłe dla całej ludz-

kości znaczenie tej zagranicznej podróży i kończący się życzeniami na drogę, z towarzyszeniem, naturalnie, wyrazu wiernopoddanych uczuć. Redakcyje uległy naciskowi — rozumie się, nie każdą uległość ta wiele kosztowała — i dały zabawne ćwiczenia stylowe, miejscami zredagowane nawet dowcipnie. Znać na tych elaboratach, skąd się wzięły — czytając je, widzi się dobrze, iż to nie wyraz uczuć, ale nowy przyczynek do dziejów ucisku.

Szczery zato jest żal, z jakim ogół nasz przyjął wieść o śmierci Adolfa Pawińskiego. Straty, jaką w osobie jego ponosimy, nie zrozumiemy ten, kto nie zna obecnego naszego położenia. Niedosć powiedzieć, że w osobie jego ubył naszemu społeczeństwu wielkiej miary uczonej, jeden z najznakomitszych badaczy naszych dziejów, ale trzeba pamiętać, że stratę tę poniosło społeczeństwo, nie mające dziś możliwości dawania pracownikom naukowym tego, co dają inne narody. Jako profesor uniwersytetu i zarządzający archiwum akt dawnych, Pawiński miał nietylko zdolności, wiedzę i metodę badania naukowego, ale przytem rozporządzał środkami, niezbędnymi do naukowej pracy. Dzięki temu, że go jeszcze nie zdołano usunąć ze stanowiska i zastąpić Moskałem, był on ostatnim, jedynym już w zaborze rosyjskim historykiem polskim, pracującym nad nauką w warunkach, w jakich pracują ludzie na całym świecie. Z jego śmiercią środki, którymi rozporządzał, przejdą w obce ręce, na katedrę będzie mianowany przybysz ze wschodu, i warsztat, z którego wychodziły takie prace, jak »Rządy sejmikowe w Polsce«, poczyni służyć do fabrykowania tendencyjnych broszur, pamfletów raczej, niż prac naukowych. Oto przyczyna, dla której więcej, niż podwójnie, stratę zasłużonego człowieka musimy odczuwać. Historycy warszawscy, którzy po Pawińskim pozostają, to paryasy, którzy muszą czas dla studyów kraść od ciężkiej pracy na kawałek chleba, którym brak najniezbędniejszych często pomocy naukowych. Smutne warunki, w jakich pracować muszą nasi ludzie, oddajają się nauce, nie mogą być zachętą dla młodego pokolenia, skutkiem czego młodszych sił na tem polu prawie wcale nie widać, i z bólem musimy stwierdzić, że w Pawińskim tracimy jednego z mohikanów prawdziwej nauki.

Jeszcze jest jeden powód, dla którego ubytek tego człowieka bardzo nas musiał dotknąć. W osobie jego ubył jeden z ostatnich, niewypędzonych jeszcze przez Apuchtina profesorów, Polaków na uniwersytecie warszawskim. Maluczko, a jedynym przedstawicielem polskiej nauki będzie tu p. Teodor Wierzbowski, profesor historii literatury polskiej... dla Rosyan. Dzieło obniżania wartości naukowej uniwersytetu i podnoszenia jego wartości narodowo-rosyjskiej, znów zrobiło duży krok, zbliżający je ku końcowi.

Jak szyderstwo, brzmi wobec tego »ciepłe« wspomnienie, poświęcone zmarłemu w *Warsz. Dniwniku*, takie szczere, jak artykuły pism warszawskich, witające cara. Jeszcze większymi drwinami, niewłaściwymi wobec śmierci zasłużonego człowieka, jest kondolencya, wyrażona przez rektora uniwersytetu jagiellońskiego... rektorowi uniwersytetu warszawskiego. Jeżeli miała ona na celu przyczynić się do poprawy stosunków rosyjsko-polskich, to chybiła celu. P. Kowalewskij, otrzymawszy kondolencyę w chwili, gdy zacierał ręce z radości, że się opróżniła katedra dla nowego »diejatiela« mógł się tylko takim żartem zirytować.

* * *

Z ZABORU PRUSKEGO.

Poznań 28 sierpnia.

Złot Sokołów. Konfiskata pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła.“ System nękania ludności. Sprawy o obrazę majestatu. Pan Hasemann. Zbrodnia nauczyciela.

Nie będę opisywał szczegółowo trzydniowego zjazdu, używając wyrażenia przyjętego, zlotu Sokołów polskich w państwie niemieckim, który jak wam wiadomo zapewne, odbył się u nas w Poznaniu. Policya z góry zapowiedziała że na uroczyste wystąpienia i pochody nie pozwoli i ograniczyła do 5 liczbę gości z Galicyi. Pomimo tych szykan zlot Sokołów był liczny i cała uroczystość, że użyje tego wyrazu, sprawiała wrażenie poważne, nawet imponujące.

Dzięki taktowi osób przewodniczących i rozsądnej powściągliwości uczestników nietylko żadnych zajść, ale nawet drobnych nieporozumień z policją nie było i przedstawiciele jej, obecni na zebraniach, mieli dosyć komiczne miny bo i rola ich była śmieszna.

Stowarzyszenie Sokołów polskich w państwie pruskim składa się niemal wyłącznie z przedstawicieli warstw średnich — mieszczaństwa i inteligencji zawodowej, niezbyt zresztą licznej, Szlachta nie bierze udziału w tych rozrywkach demokratycznych, którym oddają się przeważnie młodzi kupcy i przemysłowcy, a nawet czeladnicy różnych rzemiosł — szewcy, krawcy, stolarze i t. d. Jest nawet jedno kółko sokolskie w Szymborzu na Kujawach, składające się z młodych gospodarzy wiejskich. Panowie ze wsi nie raczyli nawet przybyć do Poznania dla przyjrzenia się ćwiczeniom Sokołów, ale obeszlśmy się bez nich, jak obchodzimy się dziś coraz częściej i w innych sprawach.

Prezes Związku Sokołów p. Chrzanowski powitał uczestników zlotu i licznych gości mową, w której streścił kilkanastoletnie dzieje stowarzyszenia, Pierwsze towarzystwo gimnastyczne polskie w zaborze pruskim powstało jeszcze w t. 1884 w Inowrocławiu. W r. 1885 założono gniazdo sokolskie w Bydgoszczy, w r. 1886 w Poznaniu, w 1887 w Szamotułach i w Gnieźnie. W następnym roku żadne towarzystwo nie powstało, dopiero w 1889 zjawił się Sokół berliński, a w 1890 ostrowski. Kiedy odbył się pierwszy zjazd w r. 1893 w Inowrocławiu, istniało tylko 10 towarzystw, w ćwiczeniach na boisku brało udział zaledwie 60 ludzi.

Dopiero od tego zjazdu zaczął się szybki rozwój towarzystw sokolskich. Dwa założono po zjeździe w r. 1893, 9 w r. 1894 i 14 w r. 1895, wreszcie 5 w r. 1896. Teraz po zjeździe poznańskim donoszą już pisma o powstaniu naszych gniazd. Z 40 istniejących należy do Związku 33. Związek dzieli się na 4 okręgi terytorjalne i liczy 2224 członków, 722 więcej niż w roku ubiegłym.

Najwięcej towarzystw sokolskich ma Księstwo. Pierwsze gniazda na Śląsku (Wrocław) i w Prusiech Zachodnich założono w r. 1894. Obecnie istnieją trzy polskie towarzystwa na Śląsku — we Wrocławiu, Bytomiu i Katowicach i sześć czy siedm w Prusiech Zachodnich. Są też Sokoły polskie w Berlinie i Charlottenburgu.

W siedmiu towarzystwach, z różnych względów, nie należących do Związku, jest około 300 członków.

Nie są to liczby imponujące wobec setek tysięcy »turnerów« niemieckich, ale pamiętać trzeba, że to dopiero początek; za kilka lat z pewnością podwoi się liczba towarzystw i ich członków.

Prezes Związku p. Chrzanowski i prezes Sokoła poznańskiego p. Rabski trafnie i wymownie określili zadania i znaczenie towarzystw gimnastycznych. Rozwój ich świad-

czy o postępie umysłowym i materyalnym warstw średniczych o ich zdrowiu fizycznym i moralnym. Ale Związek sokolski, z innego jeszcze względu zasługuje na uznanie: jest on bowiem stowarzyszeniem, łączącym wszystkie nasze dzielnice a nawet kolonie w państwie niemieckim, jest jakby przedstawicielstwem jedności narodowej. Nadaje to w stosunkach naszych doniosłość szczególną, zapewnia wpływ większy, niż ten, który mu zadania jego właściwie wyznaczają.

Wiele hałasu narobiła podana przez pisma niemieckie wiadomość, że sąd okręgowy w Berlinie, w wniosek prokuratora, nakazał konfiskatę pieśni »Jeszcze Polska nie zginęła«, z powodu że takowa zawiera wezwanie do broni w celu odbudowania państwa polskiego, a więc jedną klasę ludności w państwie niemieckim pobudza publicznie do gwałtów przeciwko drugiej.

Po sprawdzeniu okazało się, że wyrok sądu dotyczy socjalistycznej przeróbki pieśni »Jeszcze Polska nie zginęła.« Tą przeróbkę, drukowaną czy też hektografowaną oddzielnie, w wielkiej liczbie egzemplarzy rozpowszechniano głównie na Śląsku. Na żądanie władz miejscowych sąd berliński nakazał konfiskatę egzemplarzy, znajdujących się na składzie u wydawcy.

Zbyt pochopnym jest jednak wyprowadzony po sprawdzeniu faktu wniosek, że władze pruskie nie mogą zakazać naszej pieśni narodowej. Wszystko jest możliwym dzisiaj w »państwie prawa«. Wytaczane wciąż sprawy o wywieszanie chorągwi o barwach narodowych nie mają właściwie żadnej podstawy, bo barwy narodowe są zarazem barwami prowincjonalnymi, przepisane mi rozkazem gabinetowym króla w r. 1882. Do 1894 r. nikogo z powodu wywieszania chorągwi czerwono-białych do odpowiedzialności nie pociągano. Dopiero od tego czasu zaczęły się dosyć liczne sprawy. Sąd ławniczy w Poznaniu przed kilkoma miesiącami uwolnił oskarżonych, pomimo to policya wytacza ludziom procesy.

Jest to po prostu obmyślany z góry system nękania ludności sprawami sądowymi. Władze wyższe system ten tolerują, a nawet zalecają poufnie jego używanie. Sądy, nie zawsze zresztą, uwalniają ostatecznie ludzi, obwinionych niesłusznie, ale kłopoty z powodu procesu są nieraz karą bardzo dotkliwą. Kasa państwowa płacić musi koszta przegranej sprawy, ale za przykrości i stratę czasu nie ma wynagrodzenia. Policya i wogóle władze administracyjne mają inne jeszcze sposoby dokuczania ludności polskiej za pomocą wymierzania kar w zakresie swej kompetencji i wydawania zakazów. Prawda, że te rozporządzenia można zaskarżać, można odwoływać się do władz wyższych, można nawet w wielu wypadkach uzyskać cofnięcie niesłusznych nakazów i postanowień. ale jak to nuży i dręczy, ile czasu i pieniędzy i energii ludzkiej pochłania. Ta walka o drobnostki wyczerpuje niezmiernie i zniechęca ludzi, czyni ich niezdolnymi do pracy twórczej, jest niewątpliwie jedną z przyczyn głównych jałowości naszego życia umysłowego i społecznego.

Od wstąpienia na tron Wilhelma II. liczba spraw o obrazę majestatu pomnożyła się znacznie. Jest to wynikiem logicznym tego faktu, że cesarz osobiście i nieraz w sposób bardzo ostry, nawet gwałtowny występuje w sprawach publicznych. Tymczasem władze są nadmiernie w tym względzie drażliwe. Już nie na setki, ale bodaj na tysiące liczyć można skazanych za obrazę monarchy. Niedawno właśnie sąd poznański skazał robotnika z Wróblewa Antoniego Kruszczeńskiego na dwa lata więzienia, chociaż wina jego nie była należycie udowodniona. Nawet w Rosji bowiem istnieje przepis, że za obrazę majestatu tych tylko karać należy, którym dowodnie wykazano, że działali z rozmysłem. Tymczasem w Niemczech sądy karzą nieraz ludzi,

którzy dopuścili się zarzucanego im wykroczenia w stanie niepoczytalnym.

Znany pan Hasemann, inspektor szkolny w Śmiglu który skomprmitował się bezczelnie głupim listem, nadesłanym do redakcyi *Gońca*, od 1 października prznosi się »w stan spoczynku«, t. j. po prostu dostaje dymisyę. Nie bronią jego sprawy nawet gazety hakatystowskie, bo w swoim szowinizmie nawet dla nich był *zu dumm*. Niestety, inni rozumniejsi i dlatego szkodliwsi koledzy p. Hasemanna pozostaną na urzędach i robić będą to samo, co ich niefortunny towarzysz, tylko zręczniej j rozważniej.

W krótkim czasie druga już wypływa sprawa, charakteryzująca nauczycielstwo niemieckie, drugi z rzędu nauczyciel, tym razem Polak zniemczony, oddany został pod sąd za dopuszczenie się oburzających czynów niemoralnych w stosunku z uczniami, Zbrodniarz ceniony był przez władzę swoją, która stawiała go za wzór innym nauczycielom, ponieważ gorliwie szerzył niemieczyznę i występował przeciw »fanatyzmowi katolickiemu.«

P. Zabłocki b, właściciel Dąbrówki Ludomskiej zamieścił w *Gońcu* list, którego treść należy przytoczyć. Protestując słusznie przeciw wymianianiu jego nazwiska obok nazwisk ludzi, którzy sprzedali majątki swe komisji, p. Zabłocki zaznacza że Dąbrówkę sprzedano za subhascie i dodaje, że zwracał się osobiście do wszystkich ludzi bogatych, żeby ten kęs ziemi polskiej ocalili, proponując im nabycie majątku za sumę długów, znacznie niższą od sumy szacunku.

Dać trzeba, że pomnik Karola Marcinkowskiego, znajdujący się w Dąbrówce, ma być przeniesiony na inne miejsce; Landbank zgodził się oddać go p. Szczanieckiemu.

J. M.

Z GALICYI.

Lwów, 30 sierpnia.

Wyklęcie ks. Stojałowskiego w dwustronnem oświeceniu. Następstwa kłatwy. Atmosfera przedwyborcza. Wyłom w obozie robotniczym. Stronnictwo ludowe i konserwatyści.

Przed dwoma tygodniami jeszcze ani na chwilę nie przypuszczaliśmy, że wypadnie nam do pewnego stopnia ująć się za człowiekiem, którego rozwichrzoną działalność polityczną i publicystyczną zmuszeniśmy byli niedawno ze stanowiska narodowego potępić w sposób wyraźny i bezwzględny. Jeżeli dziś pośrednio w obronie jego stajemy, zbyteczna chyba zapewniać, że powodują nami wyłącznie poczucie sprawiedliwości i względy zasadnicze, osobiste bowiem w tym wypadku nie istnieją wcale.

Na ks. St. *Stojałowskiego* rzucono kanoniczną *klatwę* i to w formie możliwie najostrzejszej, t. zw. wielką kłatwę »*excommunicatio maior latae sententiae*« z dodatkiem »*vitandus*«. Kara, wynikająca z dyscypliny kościelnej, jak wogóle stosunek duchownego do jego władz przełożonych, usuwa się z natury rzeczy od dyskusji publicznej. Należałoby więc poprzestać, co najwyżej, na podaniu do wiadomości faktu, bądź co bądź, w dzisiejszych czasach niezwykle. Ponieważ jednak w całej tej sprawie, w rozmaity sposób szeroko w prasie omawianej, polityczna jej strona wielce interesująca i nazbyt... świeckie pobudki wydania kłatwy przedewszystkiem rzucają się w oczy, a względy kościelne wobec nich na drugi plan schodzą, bezstronny komentarz, na faktycznych oparty danych, nie będzie może bezprzedmiotowym.

Kłatwę orzekła »Św. Kongregacya rzymskiej i powszechnej inkwizycyi« w dekrecie z dnia 5 sierpnia b. r., pod-

pisany przez notaryusza kongregacji ks. Manciniego, W dokumencie tym powołano się na dwa poprzednie dekrety tejsze władzy kościelnej, mianowicie jeden z 1894 r. nakazujący ks. Stojałowskiemu, który »artykułami wielokrotnie ogłaszany w różnych pismach i spokój zakłócającym postępowaniem najwyższym nawet trybunałom duchownym czynił wstręty«, aby się ukorzył i poddał arcybiskupowi lwowskiemu; drugi z dnia 24 kwietnia 1895 r. podobnej treści, tylko w ostrzejszym tonie z zakazem wydawania gazet i jakiegokolwiek druków bez aprobaty ordynaryusza i z zagrożeniem ekskomunikacji w razie nieposłuszeństwa. Ale i ten dekret nie odniósł skutku. »Ks. Stojałowski — czytamy dosłownie dalej — podczas gdy to się działo, uzyskał uwolnienie z dyecezyi lwowskiej i przyjęcie do dyecezyi antywarskiej, z równoczesnym pozwoleniem na pięcioletni pobyt w którejkolwiek dyecezyi węgierskiej; do żadnej z nich jednak się nie udał, lecz bawił w monarchii austriackiej, w dyecezyi wrocławskiej. W tem to miejscu, pod pozorem przynależności do tak odległej dyecezyi antywarskiej, żadnego z rzeczonych ordynaryuszów nie słuchając, owszem, nie dbając o orzeczenie kilku biskupów, publicznym i wspólnym aktem potępiających jego pisma, czuł się bezpiecznym przed jakimikolwiek cenzurami kościelnymi, któreby na niego spaść mogły, ale nie uniknął kary siedmiomiesięcznego więzienia, nałożonej przez trybunał świecki za ogłaszanie w dziennikach artykułów podburzających. Wtedy to do samej Jego Świątobliwości Papieża Leona XIII pisma bardzo poważne nadchodziły, w których wzywano władzy Stolicy św. na tego kapłana, coraz bardziej w złem brnącego. Albowiem weszło mu w zwyczaj po szalonemu zwozić dusze wiernych na jawną zgubę głoszeniem nauk podburzających, a wiodących do schyzmy i przewrotu, których przykładów dostarczono, tudzież upornem a raczej świętokradzkim sprawowaniem świętych tajemnic pokryjomu, wbrew przepisom i należnemu poszanowaniu, mimo że mu ich odprawiania dekretem kilku biskupów zakazano«. Wówczas — twierdzi pismo kongregacji — zagrożono ks. Stojałowskiemu ekskomuniką po raz wtóry, a gdy i to ostrzeżenie nie pomogło, Najwyższa św. kongregacja św. Officium, stwierdzając upór i zawziętość ks. Stojałowskiego, orzeka i wyrokuje, że ks. Stanisław Stojałowski z powodów wyżej podanych samo przez się popadł w prawem postanowioną karę kłatwy (*latae sententiae*) i ile byłoby potrzeba, też karę kłatwy z wszystkimi bez wyjątku skutkami na tego ks. Stojałowskiego niniejszem publicznym dekretem nakłada i wymierza, ogłaszając, że zasługuje na unikanie i należy go unikać«.

Z wyż wymienionych motywów kłatwy jedno wynika, że w sposób niebywały nadużyto w niniejszym wypadku powagi kościoła i religii dla celów na wskróś politycznych. Gdyby nawet wszystkie fakty, na które się dekret powołuje, były ponad wszelką wątpliwość stwierdzone, nie możnaby na ich podstawie usprawiedliwić najcięższej, w prawie kanonicznym uznanej kary. Wszakże nie podpada pod kłatwę ani pisanie najbardziej podburzających artykułów, ani więzienie za zbrodnie i przestępstwa polityczne, ani nawet okazywanie biskupom nieposłuszeństwa. Chodziło tu jednak o co innego. Osoba ks. Stojałowskiego była i jest, jak wiadomo, dla pewnych sfer w kraju bardzo niewygodna, piśmka jego wywierają niewątpliwie i dziś jeszcze dość silny wpływ na lud w niektórych zachodnio-galicyjskich powiatach, skutecznie podkopując powagę stronnictwa »rządzącego« — postanowiono zatem pozbyć się go za wszelką cenę, i uczynić, jak to mówią, niemożliwym. Rozmaitych próbowano w tym celu środków, a gdy wszystkie zawiodły, pozostał jeszcze ostateczny. »Bardzo poważne pisma nadchodziły do samej jego Świątobliwości papieża Leona XIII«. Nie

zawahano się więc nawet użyć interwencji najwyższej władzy kościelnej, ażeby powagą swą pokryła ona intrygi stronnice. Cel uświęcił środki! Zadano kapłanowi katolickiemu cios, rzekomo śmiertelny.

Prasa konserwatywna ogłosiwszy skwapliwie dekret kongregacji *in extenso*, uznała ks. Stojałowskiego za politycznie zmarłego, przypuszczała zapewne, że wyklęty wreszcie pod ciosem ulegnie. Tymczasem ks. Stojałowski nie tylko, że się nie poddał, ale donośnym głosem, na jaki jeno poczucie istotnej krzywdy zdobyć się może, dał przeciwnikom odprawę niespodziewaną i wcale nie miłą.

„*Nie pójdziczny da Kanossy*“, tak brzmi wymowny tytuł broszurki, ogłoszonej przez ks. Stojałowskiego, w odpowiedzi na kłatwę. »Używając tych słów — pisze autor — nie mam zamiaru ubliżać powadze kongregacji, inkwizycyi lub papieża, którego najwyższe zwierzchnictwo uznaję i szanuję, ale chcę dosadnie zaznaczyć, że: 1) ogłoszony przez pisma publiczne tekst wyroku, uważam za niemożliwy i prostu za dokument *sfalszowany*; 2) jeżeliby miał być autentyczny, w takim razie poczytywałbym go za oparty na tak grubym błędzie co do faktów i prawa, za wydany *wbrew woli i wiedzy papieża* i z takim papieża podejściem i obalamuceniem, że Leonowi XIII nie pozostawałoby nic innego, jnk tylko autorów sprawców tego dokumentu co prędzej z kongregacji inkwizycyi usunąć i przepisana w prawie kanonicznem karę na nich nałożyć, opłaszając to przed całym światem, dla naprawienia danego publicznego zgorzelenia«. Przepuszczenie, że dokument jest plagiatem, opiera ks. Stojałowski na zewnętrznych cechach »dekrete« i na tem, że jak twierdzi, wyrok nie został mu dotychczas (24 sierpnia) przez żadną władzę kościelną doręczony. Wykazuje dalej, że w orzeczeniu kongregacji rozmyślnie pomieszano dwa rodzaje ekskomunikacji t. j. kłatwę prawem ustanowioną (*latae sententiae*) z kłatwą wydaną przez sędziego (*ab homine*) czyli na podstawie przeprowadzonej rozprawy sądowo-duchownej i oświadcza, że obie części orzeczenia polegają na nieprawdzie, przekręceniu faktów i pogwałceniu wszelkiego prawa. Przechy więc po kolei wszystkim podanym w dekrete »powodom«, oświadcza, że są »fałszywie zmyślane i oszczerce, lub co najmniej przekręcone«, dowodzi, że »nie ma tam ani jednego faktu, ani jednej winy, któraby podpadała pod prawem przewidzianą kłatwę«, niema ani jednej rzeczy takiej, któraby jasno i stanowczo za »czysto kościelną« uznana być mogła, albo jako sprzeczna z wiarą i moralnością się okazywała. Rozprawiwszy się następnie z drugą częścią wyroku, za który z powodu nie zachowania formalności, prawem kanonicznem przepisanych, »nie kłatwa na mnie, ale suspensa na tego spada który ją wydał«, twierdzi ks. Stojałowski, że »wszystko, co ten dokument zawiera, jest nie tylko bez wartości, ale wprost złem i jeżeli spisane było świadomie, jest nader grzesznem i zbrodniczem, bo to *prosty usiłowany mord duchowny*«. Dwa jeszcze charakterystyczne ustępy broszury zasługują na uwagę. Kłatwę, jeżeliby miała jakie znaczenie, uważa ks. Stoj. dla siebie osobliście za »zupełnie obojętną«, a sądzi, że »grom ten głównie wymierzony przeciw ludowi! »Bezsumienny ucisk ludu za »czytanie gazetek« teraz się może rozbestwić — i zapewne się rozbestwi«... W końcu zaś »tym, którzy nademną łzy krokodyle leją lub faryzejskie obietnice modlenia się za moje »nawrócenie« ogłaszają« odpowiada temi słowy: »Pomimo to wszystko, wierzę, co kościół św. naucza i da Bóg, umrę katolickim kapłanem. Uznaję zwierzchnictwo i najwyższą władzę papieża, ale tylko papieża — i pasterstwo biskupów; cześć też i szanuję godność biskupią — a osoby ich o tyle, o ile godnie piastują swe dostojęństwo, a czynami swymi nie krzywdzą kościoła i dusz ludzkich. Jestem dziś gotów odwołać każdą nieprawdę, jeżeli ją nie-

świadomie napisał lub cokolwiekby się sprzeciwiało nauce kościoła. Jestem gotów każdej chwili wykonać to, co mi prawowita zwierzchność kościelna t. j. mój biskup lub papież w rzeczach »kościelnych« rozkażą. Ale rozkazu, abym zaprzestał wydawania pism lub działalności politycznej, rozkazu, wychodzącego od lwowskiego i krakowskiego biskupa, którzy od lat ośmiu najbrzydlivszymi, wprost niegodziwymi środkami gwałtu, niesprawiedliwości, oszczerstw i fałszywych oskarżeń do tego mnie zmuszają, *nie usłucham nigdy!* Wydrzeć bowiem sobie pisma i usunąć siebie z pola działalności, zroszonego moją pracą i krwią, dla korzyści stańczyków *nie dam nikomu — nawet papieżowi*, bo i papież owoców dwudziesto kilkoletniej pracy, której szkodliwości dla kościoła i wiary nikt mi dotychczas nie udowodnił, odebrać mi nie może, i ja wiem, że nie chce i nie zechce».

Tak w obustronnem oświeceniu wygląda cały ten zatarg księdza z kościołem. Następstwa łatwo przewidzieć. Czasy średniowieczne minęły bezpowrotnie. Dziś już kłątwa kościelna nie pociąga za sobą świeckiej egzekutywy, nie powoduje śmierci cywilnej. Ani osobie ks. Stojałowskiego nie zaszkodzi, ani działalności jego politycznej nie powstrzyma ta ekskomunika, choćby ją najuroczyściej we wszystkich kościołach obwieszczono, przeciwnie, jeżeli nawet tu i owdzie sprawi wrażenie, dla inicjatorów kławy pożądane, to z drugiej strony o wiele silniej umocni wpływ wyklętego i powagę jego podniesie tam, gdzie lud przywykł oddawna — mniejsza, słusznie czy nie słusznie — widzieć w nim niewinnie przesładowanego rzecznika swego i obrońcę dobrej sprawy. Zapewne, śmieszna przechwałka mieści się w słowach ks. Stojałowskiego, w których on siebie z całym ludem utożsamia, ale ta przechwałka do pewnego stopnia urzeczywistnić się może w naturalnej konsekwencji kławy, jeżeli księga w dalszym ciągu stosować ją będą do wszystkich, czytających »zakazane« gazetki. Wydawania ich nikt wyklętemu zabronić nie jest w stanie, a choćby się tylko stu, dwustu czytelników znalazło, w każdym razie roboty z wykluczeniem byłoby niemało. Bądź co bądź, nikt inny jeno kościół i powaga władzy duchownej ucierpi na tem najwięcej — i to będzie jedynym pozytywnym skutkiem niebacznie rzuconej ekskomuniki, jedynym owocem działania tych, którzy ją w politycznem zacietrzewieniu wywołali, chcąc w ten sposób ratować własne swe, mocno nadszargane wpływy i znaczenie. Nadzieje ich zawiodą, a niedaleka przyszłość przekona klerykalnych zachowawców galicyjskich, że najgorszą dla siebie i ze stanowiska etyki społecznej niewłaściwą obrali drogę.

Wybory do rady państwa zbliżają się, a choć termin ich rozpisania jeszcze niewiadomy, atmosfera przedwyborcza coraz wyraźniej odczuwać się daje i zapowiada kampanię niezwykle interesującą. Partya socjalno-demokratyczna, obiecując sobie wiele po piątej kuryi, która po raz pierwszy ma do urn wyborczych przystąpić, rozwija gorączkową agitację na rzecz swych kandydatów, podobno już nawet dla każdego okręgu nominowanych. Trudno dziś orzec, czy i o ile zabiegi te osiągną rezultat pomyślny. Urzędowa statystyka osób, upoważnionych do głosowania w kuryi piątej, przeprowadzona, co prawda, z pośpiechem i niedokładnie, nie powinna zbyt optymistycznie usposabiać robotników i ich przywódców socjalno-demokratycznych, którzy mają zamiar ubiegać się o mandaty. Wogóle zdaje się być pewnem, że szanse ich nie przedstawiają się w rzeczywistości tak różowo, jak to głoszą organa partyi. Zjawiskiem wcale dla socjalistów nieprzyjemnem, choć zrazu lekceważonem, jest ruch wszczęty niedawno przez jezuitów w Krakowie pod hasłem chrześcijańskiej demokracji i w duchu antysemickim, propagowany gorliwie przy pomocy »wszystkiego co żyje«

w innych miastach między robotnikami. Przeciw »Siłom« powstają na gwałt »Przyjaźnie«, przeciw »towarzyszom« organizują się »przyjaciele«, których już po kilkuset bywało na paru ostatnich zgromadzeniach. Nie ma powodu przeceniać znaczenia, trwałości i siły tego ruchu, obliczonego w celach aż nadto widocznych na osłabienie socjalnej demokracji, niemniej wszakże zasługuje on na uwagę jako objaw iospirowanych z góry a jak się pokazuje niezupełnie bezskutecznych dążeń do rozdwojenia — jednolitego jeszcze do niedawna — obozu robotniczego — choćby na czas wyborów.

W kuryi gmin wiejskich nadzieja zdobycia pewnej liczby mandatów uśmiecha się stronnictwu ludowemu. Ruch tu również bardzo ożywiony. Na wiecach, coraz to częstszych, którym rząd teraz — prawdopodobnie pod wpływem ostatniej kompromitacji z bezprawnem aresztowaniem posła Nowakowskiego — mniej nieco stawia trudności, lud wiejski gromadzi się licznie, radzi o swoich potrzebach i do walki wyborczej czyni przygotowania. Posłowie ludowi na sejmikach relacyjnych zdają wyborcom swym sprawę z ostatniej sesji sejmu i własnego w niej udziału. Nie poczuwają się natomiast do obowiązku tego konserwatywni »przedstawiciele ludu«, widocznie bowiem niechęć pokazywać się tym, których zaufanie dawno stracili i nie liczą na możność pozyskania ich względów w przyszłości. Prasa konserwatywna, czyniąc za to »*peccatum ommissionis*« wymówki swoim wychowankom politycznym, zapomina, że — strach ma wielkie oczy.

Prawdżic.

Socjaliści i Rusini. Na zebraniu umyślnie zwołanem p. Kozakiewicz, jeden z przywódców socjalistów lwowskich zdawał sprawę z kongresu londyńskiego, w którym brał udział jako delegat organizacyi galicyjskiej. Kilku Rusinów wystąpiło na tem zebraniu z dziwną, można powiedzieć nawet z dziką pretensją, że socjaliści polscy nie oświadczyli się na kongresie za niepodległość Rusi. Na ten zarzut odpowiedział trafnie p. Kozakiewicz, że niepodległość Rusi nie obchodzi bezpośrednio socjalistów polskich. Nie mogli zresztą stawić takiego żądania, bo Rusini sami wyraźnie go nie zaznaczają. Po wstąpieniu na tron Mikołaja II *Narod* (radykalne pismo ruskie) zamieścił z podpisem Dragomanowa artykuł programowy, zawierający jedynie żądanie skromnej autonomii. Pisma polskie, zdające sprawę z zebrania socjalistów, mylnie nazwały artykuł memoriałem, co dało powód p. France do zaprotestowania w *Kuryerze lwowskim*, że Dragomanów żadnego memoriału carowi nie podawał. Memoriału istotnie nie podawał, ale artykuł napisał i podpisał.

Oświadczenie p. Kozakiewicza wywołało żywe rozprawy pomiędzy socjalistami polskimi a radykałami ruskimi. Pierwsi zarzucali drugim niekonsekwencyę w postępowaniu i płaszczenie się przed rządem carskim. Kiedy p. Klimczak oświadczył, że Rusini będą musieli założyć własną organizację, odezwały się głosy: »obejdziemy się bez was«. Rekryminacje Rusinów były czasem bardzo naiwne, np. że socjaliści polscy wyzyskują dla swych celów proletaryat ruski. Nawet rozsądniejsi Rusini potępiłi swych towarzyszy, którzy raz jeszcze dowiedli, że wspólne działanie z nimi nawet dla najskrajniejszych stronnictw polskich jest prawie niemożliwem, z powodu dziwacznych pretensyi i niezwykłej naiwności politycznej.

Z KRESÓW.

Cieszyn 22. sierpnia.

„Związek śląskich katolików“. Jego przeszłość i stan obecny. Stanowisko przywódców narodowych. Szanse stronnictwa narodowego w miastach. Sejm śląski. Niesprawiedliwość obecnej ustawy wyborczej. Odezwa czesko-polska. Stronnictwo polskie na Śląsku powinno być ludowym. Bezsilność dotychczasowej reprezentacji. Ruch wśród nauczycieli. Broszura dra F. Twardowskiego.

Stoimy u progu wyborów. Urzędowe zawiadomienie o rozpisaniu nowych wyborów do sejmu, ogłoszone w pierwszych dniach b. m. skłoniło nareszcie naszych przywódców narodowych do jakiejś takiej akcji. Do owej chwili, jak pisaliśmy w liście poprzednim, mało co w tym kierunku zrobiło się. »Związek śląskich katolików«, jedyne u nas towarzystwo polityczne, dające znaki życia, w odezwie swojej wydanej przed dwoma tygodniami, mówi: »czas więc do przygotowania się do wyborów jest krótki i nie będzie można w tym krótkim czasie rozwinąć tyle pracy i agitacji wyborczej, ileby należało.« Naiwnem jest to wymawianie się brakiem czasu wobec tego, że agitację wyborczą można było już rozwinąć na długo przed urzędowym ogłoszeniem o terminie wyborów. Najbardziej ograniczony członek tego towarzystwa wżruszy z politowaniem ramionami na podobne usprawiedliwienie ośpałości, bo dobrze rozumie, że głównym powodem tejże są właśnie sami kierownicy »Związku«, którzy w ostatnich latach pozbyli się wszelkiej energii i wiary w swe siły, jaką niegdyś w dość znacznym stopniu się odznaczali.

Ten upadek energii wśród kierowników najlepiej uwydatnia się w rozwoju tego towarzystwa. Założone przed kilkunastu laty dzięki inicjatywie śp. Stalmacha, gdy wszelkie usiłowania jego celem założenia towarzystwa bez cechy wyznaniowej spełzły na niczem, przy usilnej pomocy ks. Świeżego pomyślnie się rozwijało przez kilka lat, i trzeba przyznać że dzięki »Związkowi« głównie stronnictwo narodowe parokrotnie zwyciężyło przy wyborach. Najwyższego rozwoju dosięgło to towarzystwo w latach 1884/5, kiedy liczba członków wynosiła dwa tysiące kilkuset. Od tego czasu jednak liczba członków stopniowo spada, podczas wyborów do sejmu w r. 1890 wynosi zaledwie tysiąc kilkaset, a w obecnej chwili nie wykracza poza 800.

Trudno jest dociec właściwej przyczyny tego upadku, od żadnego z przywódców, czy to katolików, czy ewangelików, zadawalniającej odpowiedzi nie otrzymasz.

Można to tylko powiedzieć, że póki był Stalmach, któremu rozwój towarzystwa, chociaż ewangelikowi, bardzo na sercu leżał, póki on, że się tak wyrażę, pchał księdza Świeżego i czuwał nad nim, dopóty towarzystwo żyło i rosło; skoro zaś znękany życiem usunął się od bezpośredniego wpływu, to i »Związek« chylić się zaczął do upadku. Obecnie wśród księży katolickich, myślących po polsku, nawet w młodszych pokoleniu trudno dopatrzyć się kogoś, coby czuł się na siłach przywrócić »Związkowi« choćby tę świetność względną i znaczenie, jakie miał lat temu 10—12. Widocznie widzą oni bezcelowość wszelkich w tym kierunku usiłowań wobec wzrastającego wpływu kierunków radykalno-demokratycznych, które już w obecnej chwili liczą sporo zwolenników nawet wśród samych członków »Związku«.

Mojem zdaniem, towarzystwo polityczne z charakterem wybitnie wyznaniowym nie ma już wielkich widoków przed sobą wśród ludności tutejszej. Miałoby jeszcze duże szanse towarzystwo polityczne o barwie narodowej bez cechy wyznaniowej, gdyby w programie swoim wyraźnie zajęło stanowisko ludowe i zapewniło wszystkim warstwom ludu

pracującego odpowiednie duchowi czasu starania o dalej sięgające reformy społeczne i polityczne.

Tymczasem przywódcy nasi dalecy są od tego. Stoją oni na stanowisku przeważnie konserwatywnem, w działalności swej, czy to w Radzie państwa, czy w Sejmie przedstawiają interesy wyłącznie niemal ludności rolniczej, czego nawet sami nie zaprzeczają, pomimo że wśród zaludnienia księstwa Cieszyńskiego procent ludności, zajmującej się pracą przemysłową, już w r. 1890 wynosił 28,2 — a obecnie zapewne przewyższa 40%. O ludność polską robotniczą po kopalniach, po fabrykach, o ludność rzemieślniczą po napół ziemieczonych miastach wcale nie dbają i wcale nie starają się zapoznać się z jej stanem z potrzebami, ani zbliżyć się do niej. Dzięki temu w części ludność robotnicza coraz bardziej łąnie do socyalnej demokracji lub do ks. Stojałowskiego, rzemieślnicy zaś są ciągle pod wyłącznym wpływem niemieckich liberałów lub nacyonałów.

Stronnictwo polskie, które tym razem zawarło ugodę z Czechami celem wspólnego zwalczania kandydatur niemieckich, ogłasza, że również i w miastach walczyć będzie o krzesła poselskie, wątpić jednak można, czy szczerem jest ten zamiar i czy wogóle opłaci się fatygować wyborców polskich do urny, skoro się nigdy nie literalnie nie robiło, aby pozyskać ich dla sprawy narodowej. Pamiętamy doskonale wszystkie poprzednie próby, a zwłaszcza ostatnią w r. 1891 z p. dr. Janem Michejdą, kiedy ten przy wyborach do Rady państwa z Cieszyna otrzymał głosów cztery czy pięć dziesiątków na tysiąc kilkuset głosujących! Pamiętać zaś trzeba, że według statystyki urzędowej taki Cieszyn ma ludność w połowie polską, pokazuje się więc, jak śmiesznie mały odsetek jej głosuje na kandydata narodowego Jeszcze gorzej przedstawia się ta sprawa po innych miastach, w takim np. Fryszacie, z ludnością przeważnie polską, p. Michejda otrzymał kilka głosów zaledwie! Czy przy obecnych wyborach będą o wiele lepsze rezultaty, śmiemy powątpiewać. Za to nie możemy już winić Niemców, tylko siebie wyłączenie, bo od lat 40 — 50 gdy zaczęło się tu budzić życie narodowe, był przecież czas, aby się zająć choć trochę ludnością miejską, która w takim Cieszynie wówczas była przeważnie polską. Im dłużej będziemy ociągali się z wciągnięciem ludu miejskiego w sferę swego wpływu, tym zadanie nasze coraz trudniejszym będzie, bo szkoły, czysto niemieckie po miastach nie próżnują, a wiele innych czynników poważnych nie mniej dzielnie germanizacji dopomaga.

»Gwiazdka Cieszyńska« po wyborach do sejmu w r. 1890, zakończonych wybraniem 3 posłów narodowych z kuryi małej posiadłości, tak była uradowana i dumna tem zwycięstwem, iż odważyła się zawołać: »A teraz musimy zdobyć miasta!« Lecz czyn za tem hasłem nie nastąpił, chociaż ten, co hasło to wyrzucił, pragnął szczerze miastami się zająć, nie znalazł jednak ochotników do tego, sam zaś nie czuł się na siłach.

Zanadto mamy dobre wyobrażenie o zdolnościach i wykształceniu przewodników naszych, abyśmy mogli posądzać ich o nierozumienie tej dowiedzionej już prawdy, że punktem ciężkości życia dzisiejszego są miasta i że kto panuje w mieście, jest panem i prowincyi. A jednak dla czegoż nie w tym kierunku nie robią, aby miasta opanować?, Trudno zgadnąć. A przecież to niezupełnie dobrze mówi o nas, że pierwsza lepsza wioska, t. zw. tutaj «dziedzina», okazuje więcej żywotności w rozlicznych kierunkach, aniżeli taki Cieszyn, siedziba prawie wszystkich towarzystw narodowych, ze znaczną stosunkowo ilością inteligencji polskiej, w którym kompletna panuje martwość, zupełny brak polskiego życia towarzyskiego, korporacyjnego i umysłowego.

Do tego kiedyindziej powrócę, teraz chciałbym jeszcze powiedzieć słów kilka o sprawach wyborczych. Sejm śląski składa się z 32 posłów, pomiędzy którymi mamy zaledwie 3-ch swoich przedstawicieli, którzy razem z 3 czeskiemi posłami tworzą jedyną w sejmie grupę opozycyjną, gdyż reszta — to Niemcy, aczkolwiek paru odcieni, ale w sprawach językowych idący z sobą ręką w rękę przeciw posłom słowiańskim. Przy takiej opozycji oczywiście żadnych ważniejszych ustępstw dla ludności słowiańskiej niepodobna wywalczyć. Sami nasi posłowie przyznają, że to, co udało się im dotychczas otrzymać, są to poprostu »okruszyny«, do takich okruszyn należy np. istniejąca w Cieszynie od roku niższa szkoła rolnicza zimowa z językiem wykładowym polskim. Łatwo zrozumieć, że przy obowiązującej obecnie ustawie wyborczej, przy systemie kuryalnym, przy sztucznem a na korzyść Niemców obrachowanym rozgraniczeniu okręgów wyborczych, liczba posłów narodowych nawet przy bardzo wzmocnionej agitacji nie posunie się wiele ponad obecną liczbę, gdy z prawa należałoby wymagać, aby ich liczba była w ścisłym stosunku do zaludnienia, a więc posłów polskich powinniśmy posiadać co najmniej dziesięciu, Czesi tyluż mniej więcej. Czyż nie jasnym jest, że stanie się to wtedy tylko, gdy wprowadzonym zostanie powszechne głosowanie, o które tak usilnie walczą w Austrii wszystkie stronnictwa ludowe. W księstwie Cieszyńskim, gdzie nie mamy ani szlachty polskiej, ani właściwej burżuazji, na którą nam przyjdzie dość długo jeszcze czekać, gdzie mamy tylko lud pracujący na roli z pewną ilością chłopów zamożniejszych czyli »siedlaków« i coraz bardziej wzrastający liczebnie proletaryat przemysłowy, — jest miejsce tylko na stronnictwa ludowe, rządzące się temi mniej więcej zasadami, jak w innych krajach Austrii. Czy stronnictwo narodowe u nas zasługuje na nazwę stronnictwa ludowego? Bynajmniej. Już powyżej wspomnieliśmy, że posłowie nasi reprezentują w sejmie i parlamencie ludność wyłącznie rolniczą, tutaj uzupełnimy to uwagą, że śmiało możnaby ich nazwać posłami chłopskimi, ale nie ludowymi, bo nie kryją się z tem, że chodzi im głównie o dobrobyt mniejszych posiadaczy rolnych, chociaż niemniej dbać winni o interesy rzemieślników i robotników.

Jeżeli tajne, bezpośrednie, powszechne głosowanie w stronnictwie ludowem w Galicyi uznano za pierwszy punkt programu politycznego, to u nas na Śląsku żądanie to jest bardziej jeszcze uzasadnionem. Nie ulega bowiem wątpliwości, że głosowanie powszechne nietylko umożliwiłoby ludowi naszemu szybki postęp na drodze reform politycznych i ekonomicznych, ale w krótkim nader czasie zapewniłoby mu należne stanowisko narodowe, całkowite równouprawnienie językowe, na co przy obecnych zasadach prawa wyborczego możemy czekać jeszcze bardzo długo. niesprawiedliwość obecnej ustawy wyborczej jest oburzająca, a dopóki radykalnie zmienioną nie zostanie, nie możemy marzyć o wydobyciu się z tego stanu upośledzenia. Naprz. kurya wielkich posiadłości na Śląsku wybiera 9 posłów (na 32) t. j. niemal 1 trzecią część wszystkich. W pierwszym kole liczy tylko czterech wyborców*) i wybiera dwóch posłów. Tak więc 44 wyborców, właścicieli wielkich obszarów ziemskich, wybiera 9 posłów, czyli że jeden poseł w tej kuryi reprezentuje interesy zaledwie 5 ludzi, podczas gdy cała ludność księstwa t. j. 650000 osób wybiera resztę t. j. 23 posłów.

Wobec dotychczasowego stanowiska posłów naszych prawdziwą niespodzianką jest wydana w tych dniach odezwa wyborcza połączonego stronnictwa polsko-czeskiego,

wysoce interesująca i znamienna, technie ona bowiem innym jakimś duchem, aniżeli wszelkie dotychczasowe deklaracje. Znacznym postępm daje się zauważyć w tej odezwie. Wprawdzie w sprawach ekonomicznych, jak przystało na konserwatystów, jest wcale umiarkowana, zato pod względem politycznym idzie o wiele dalej od poprzednich tak co do programu, jak i co do tonu, w jakim przemawia. Oprócz reformy prawa wyborczego żąda ona wzmocnienia samorządu, równouprawnienia językowego w urzędach i sądach, w ciałach autonomicznych, w szkołach i w zakładach humanitarnych, przez kraj utrzymywanych. Domaga się reformy czeskiego i polskiego szkolnictwa na podstawie uznania języka ojczystego, jako wykładowego, założenia seminarjum czeskiego i polskiego dla nauczycieli, upaństwowienia gimnazjum czeskiego w Opawie i polskiego w Cieszynie, utworzenia fachowych szkół dla ludności słowiańskiej i t. d.

Najbardziej ciekawą jest ta odezwa w tem miejscu, gdzie wzywa nowych posłów, aby jaknajenergiczniej walczyli o zdobycie równouprawnienia narodowego zwłaszcza na polu oświaty, a gdyby rząd ze spełnieniem tych żądań zwlekać miał, aby przeszedł do opozycji. Ten ton energiczny zawdzięcza odezwa przedewszystkiem Czechom, bo żaden z naszych przywódców na to zdobyć by się nie potrafił. W odezwie tej można zauważyć, że jest jakby wypadkową dwóch sił, dwóch odmiennych nieco taktyk i zasad. Jest n. p. wszelkie prawdopodobieństwo, że gdyby redakcyę jej pozostawiono samym Czechom, tobyśmy mieli żądanie głosowania powszechnego, postawione całkiem stanowczo, wpływ współredaktorów polskich zaznaczył się ograniczeniem dążeń w tym kierunku tylko do »możliwie największego rozszerzenia prawa wyborczego«, co znaczyć może bardzo dużo, ale zarazem i bardzo niewiele. Obowiązkiem będzie wyborców dopilnować, aby posłowie w sprawie tej nie zaniedbywali się i szli *usque ad finem*. Głównym redaktorem odezwy ze strony czeskiej jest adwokat cieszyński dr. Kordac, którego energii Czesi tutejsi dużo mają do zawdzięczenia. Jestto typowy przedstawiciel stronnictwa młodoczechów, bez wielu wad jego a ze wszystkimi zaletami. Działalność słaba obozu polskiego, brak planu i spójności wśród nas — niejednokrotnie już nam wytykał i zagrzewał przywódców naszych, aby żywiej zabrali się do roboty, jeżeli nie chcą, aby Czesi w Cieszynie rej wodzić zaczęli. A do tego nie tak daleko, jakby się zdawało...

Jednym z lepszych dowodów, że obecna liczba posłów narodowych w sejmie nie posiada najmniejszego wpływu, jest przebieg starań ich o polepszenie bytu nauczycieli ludowych. Położenie nauczycieli śląskich jest znacznie lepsze niż w Galicyi, ale i tutaj pozostaje niejedno do życzenia. Dotychczas nauczycielstwo utrzymywane jest kosztem gmin, a ponieważ zamożność tychże jest bardzo rozmaita, więc i etaty nauczycieli nie trzymają się stałych norm i zasad, co wywołuje wśród nich słuszne poniekąd niezadowolone. Nazywa się to systemem *miejscowo-klasowym*. Nauczyciele już oddawna życzą sobie zniesienia tego systemu niesprawiedliwego i przejścia płac nauczycielskich fundusz krajowy, to jest t. zw. systemu *osobisto-klasowego*. Posłowie narodowi prawie rokrocznie domagali się zmiany w myśl życzeń nauczycielstwa, ale dotychczas najzupełniej bezskutecznie. Wnioski ich zawsze upadały lub nawet nie wchodziły na porządek dzienny wskutek intryg i oporu partji liberalnej, prowadzonej przez superintendenta dra Haasego i jemu podobnych. Niedawno zażarty ten wróg emancypacji słowiańskiej i wszelkich najszlachetniejszych żądań na jednym ze zgromadzeń publicznych uznał nareszcie reformę tę za konieczną i obiecał nauczycielstwu, że żądanie ich w tym kierunku obóz liberalny gorąco popierać będzie. Z tego powodu »Przeгляд polityczny« w artykule

*) Książę cieszyński, książę opawsko-karniowski, książę bielski i wielki mistrz zakonu niemieckiego.

z emfazą napisanym p. t. »Tryumf posłów narodowych« otrębuje wypadek ten *urbi et orbi*, niedostatecznie rachując się z tem, że postąpienie dra Haasego należy uważać jedynie za manewr wyborczy, za zapowiedź do niczego nie obowiązującą, mimo której w przyszłym sejmie reforma płac nauczycielskich może się spotkać z takim samym odporem, jak dotychczas i długi czas jeszcze nie zostać przeprowadzoną, jeżeli układ stronnictw w sejmie pozostanie i nadal ten sam. *Tryumf* zatem *posłów narodowych* może okazać się tylko tryumfem... w wyobraźni szan. redaktora »Przeгляdu«. Ale przed wyborami — każda liczka swój ogon chwali, niechże więc zostanie to »tryumfem«.

W pierwszych dniach b. m. w Opawie odbył się wiec nauczycieli śląskich, który obradował nad różnemi sprawami, mającemi na celu podniesienie dobrobytu nauczycielstwa i podniesienie moralnego i umysłowego poziomu wśród niego, a między innymi i nad sprawą, o której wyżej. Udział był bardzo liczny, bo blisko 500 osób przybyło ze wszystkich okolic Śląska. Jak licznie reprezentowani byli nauczyciele Polacy, nie wiadomo nam dokładnie, ale prawdopodobnie o wiele słabiej od Czechów i Niemców. Dało się zauważyć ogólne niezadowolenie wśród nich względem posłów liberalnych, którzy dotychczas udawali tylko wielkich ich przyjaciół i opiekunów, ale w rzeczywistości nie dbali o nich wcale. Warto, aby posłowie polsko-czescy nastrój ten wyśkali, jeżeli on rzeczywiście istnieje. Jednym z najwyraźniej sformułowanych żądań było, aby nauczyciele mieli w sejmie chociaż jednego reprezentanta z pośród siebie. Trudno nie uznać słuszności tego żądania, o ile taki poseł-nauczyciel nie byłby jedynie wyrazicielem potrzeb stanu nauczycielskiego, ale oprócz tego czuwał nad dobrem ogółu. Partya liberalna, jakby zadość czyniąc temu, postawiła w okręgu Cieszyn-Frysztat-Jabłonków na posła do sejmu p. Jana Szyguta, nauczyciela w Puńcowie, ale, jeżeli ten tyle wart, co i inni kandydaci liberalni, jak n. p. oślawieni Pelar z Drogomyśla lub Pitrik z Brusowic, to zaiste nauczycielstwo niewiele zyska na wybraniu p. Szyguta. Szkoda, że stronnictwo narodowe nie poszło za przykładem party liberalnej, i nie zaproponowało na posła kogoś z pośród nauczycielstwa, gdzie ludzi odpowiednich chyba nie brak. Tak ewangelicy, jak katolicy zalecają wybierać tych samych, wychodząc widocznie z tej zasady oportunistycznej, że lepiej proponować dawniejszych, ludzi znanych powszechnie, aniżeli narażać się na kapitalne fiasko, wysuwając jednostki nowe, choćby nawet bardziej odpowiednie, energiczniejsze, ale szerszemu ogółowi niedość znane. Po części taktyka to słuszna, ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że co się tyczy naszych posłów z kurji mniejszych posiadłości, pewne odświeżenie sił nie byłoby bez korzyści, choćby wypadło w tym względzie coś nawet zaryzykować. Takiemu n. p. ks. Świeżemu lub p. Cieñciałemu przyznajemy zasługi, jakie położyli w walce o zdobycie praw dla narodowości naszej, ale trudno zataić, że są to ludzie zużyeci i w przyszłości nie można się już od nich wiele spodziewać. Co mogli — spełnili i teraz powinni by przejść w stan spoczynku i spożywać *panem bene merentium*. Nie będziemy im tu robili wyrzutów, że to i owo poprowadzili nie tak, jak należało, o wielu rzeczach całkiem zapomnieli, to nie ich wina, że »nie wszystko idzie na Śląsku najlepiej«, jak wyrażono się niedawno w oświadczeniu wydziału Tow. akademików śląskich »Znicz«.

Oświadczenie to, drukowane niedawno w »Przeглядzie politycznym« i »Gwiazdce Cieszyńskiej«, oraz w krakowskiej »Reformie« stara się odeprzeć zarzuty, poczynione sympatycznemu zresztą »Zniczowi« w broszurce »Stosunki polskie na Śląsku« przez dra F. Twardowskiego. O ile zarzuty te słuszne są, nie wiem, czy je dostatecznie oświad-

czenie odpiera, nie przesądzam, notuję tylko tutaj ten fakt, że w broszurce tej daleko ostrzej zaczęto zarządy innych towarzystw, zarzucając im niesumienną lub niedołążną gospodarkę z przytoczeniem bardzo poważnych dowodów, na co jednak towarzystwa te wcale nie reagują. Chwali się młodzieży śląskiej, że stanęła w obronie swego honoru, należałoby teraz oczekiwać odezwania się wydziału Czytelni ludowej w Cieszynie, Domu Narodowego, Sokoła i t. d. Zapewne, ale przecież »nie wszystko idzie na Śląsku najlepiej«.

E. Kania.

— *Nauczyciele niemieccy na Śląsku*. Na dorocznym zebraniu okręgowym górno śląskich stowarzyszeń nauczycielskich, które odbędzie się w pierwszych dniach września w Laurahucie, przedmiotem jedynym obrad ma być pytanie: »Jakie są wobec propagandy polskiej na Górnym Śląsku — zadania szkoły i wszystkich tych, którzy mogą się przyczynić do popierania niemieczyny.«

Głównym referentem w tej sprawie będzie niejaki Grosser, nauczyciel z Brzezinki, który postawił następujące wnioski do uchwał:

1) Ruch polski na Górnym Śląsku przybrał w ostatnim czasie coraz bardziej nieprzyjazny niemieckości charakter i dla tego musi go tak szkoła, jak i inne powołane (!) do tego czynniki z walczyć energicznie.

2) Szkoła ma obowiązek zaszczeplać w dorastającej generacji niemiecki język, niemieckiego ducha i obyczaj. Przy zdążaniu do tego celu winna zważać na następujące rzeczy:

a) Niemieckiego języka wykładowego i naturalnej (poglądowej) metody należy używać we wszystkich oddziałach.

b) W niższym oddziale można, o ile się to wydaje potrzebnem, w nauce religii uwzględnić język ojczysty.

c) Przy wyborze i traktowaniu przedmiotu nauki, mianowicie w niemieckim, historii, dziejach ojczystych i śpiewie należy uwzględnić niemiecko-narodowe zadania górnośląskiej szkoły.

d) Aby szkoła dwujęzyczna mogła się poświęcić zupełnie pielęgnowaniu niemieckiego języka i ducha, nie należy w poszczególnych przedmiotach stawiać do uczniów zbyt wysokich wymagań.

e) W niższym oddziale winni pracować nauczyciele, którzy już mają po za sobą kilkoletnią praktykę.

f) Przy nauce w seminaryum należy więcej aniżeli dotychczas zwracać uwagę na odrębne zadanie górnośląskich nauczycieli.

3) Szkoła winna także na dorosłe pokolenie oddziaływać w duchu niemiecko-narodowym.

4) Stanowisko nauczyciela winno odpowiadać jego zadaniom wychowawczym.

5) Pożądaniem jest, aby nauka przygotowywała do pierwszej komunii św. i do bierzmowania udzielaną była w języku niemieckim.

6) Wielki wpływ na rozwój niemieczyny wywierają niedzielne szkoły uzupełniające, niemieckie stowarzyszenia i biblioteki ludowe, które z tego powodu zakładać należy we wszystkich ile możności miejscowościach.

7) Cała niemieckim duchem przejęta ludność, mianowicie władze, cechy i związki winny całego swego wpływu użyć na obronę zagrożonej niemieckości.

8) Należy starać się o zakładanie stowarzyszeń celem z walczenia polskiej propagandy.

Naturalnie, nauczyciele śląscy, wynalazcy mimicznej metody nauczania języka niemieckiego, uchwalą te wnioski, które zresztą nie nowego dla ludności polskiej nie zawierają. Przytaczamy je też tylko, jako ciekawy dokument, świadczący o dążnościach pedagogów niemieckich.

Z WYCHODZTWA I KOLONII

— *Polska wszechnica ludowa w Ameryce północnej.*

Wiadomo czytelnikom naszym, że sprawa oświaty była na zeszłorocznym, w Cleveland odbytym, Sejmie Związku narod. polskiego w Ameryce północnej, przedmiotem szczególnie ożywionych i wyczerpujących narad. Zawdzięczać to należy w części delegatom europejskim, drowi Karolowi Lewakowskiemu i Zygmuntowi Balickiemu, którzy zwrócili uwagę tej najpoważniejszej narodowej reprezentacji rodaków naszych za Atlantykiem na konieczność kulturalnego podnoszenia mas wychodźczych, narazonych na zupełne wynarodowienie w obec rozproszenia, w jakim żyją, niskiego ich naogół poziomu umysłowego, bliskiego zetknięcia z obcymi, silniejszymi żywiołami i braku ścisłej łączności duchowej z krajem ojczystym. W jednomyślnem uznaniu doniosłości sprawy, Sejm powołał do życia stały wydział oświaty, któremu polecono między innymi zorganizowanie polskiej wędrowniej wszechnicy ludowej, na wzór podobnych instytucji angielskich i amerykańskich, ze znakiem podobieniem uprawiających popularyzację wiedzy. Wydział oświaty zabrał się niezwłocznie do wykonania uchwały. Przy pomocy grona ludzi, posiadających odpowiednie kwalifikacje naukowe, polska wszechnica ludowa przybrała niebawem konkretne kształty i z wiosną b. roku puszczona została w ruch. Pokazało się, że myśl stworzenia takiej instytucji nie była ani chybioną ani przedwczesną. Młoda »wszechnica« zdobywa sobie szybko sympatię i zaufanie ludu naszego za morzem, rozwija się, mimo licznych trudności, wynikających głównie z braku dostatecznych środków materialnych, coraz to pomysłniej i o ile z dotychczasowych słabych jeszcze początków sądzić można, ma piękną przyszłość przed sobą.

W prasie polsko-amerykańskiej pojawiają się już od czasu do czasu krótkie, treściowe sprawozdania z działalności »wszechnicy«. Zawarte w nich szczegóły podwójnie zainteresować nas powinny, raz że to zawiązek instytucji, która mając wszelkie warunki rozwoju, z czasem, gdy spotężnieje niewątpliwie wywierać będzie poważny wpływ i wybitną rolę odegra w umysłowym życiu naszego wychodźstwa, powtóre dlatego, że objawia się w niej właściwie pierwsza próba wprowadzenia na grunt polski nowoczesnej formy kulturalnego działania, pojętej w wyższym stylu, a nader skutecznie już w innych społeczeństwach wypraktykowanej, próba, która gdy się powiedzie, może i powinna wywołać naśladownictwo i w »starym kraju«, gdzie również tak zwana »oświata« odnośnie do szerokich mas ludu przedstawia znaczne jeszcze i dotkliwe braki.

Polska wszechnica ludowa pierwsze kroki stawiać zaczęła w *Chicago*. W skład grona nauczycielskiego wchodziło tu pięć osób, mianowicie: prof. T. Siemiradzki, prof. Kurcysz, dr. T. Kodis, prof. Machnikowski i dr. fil. pani J. Kodisowa. Sprawozdanie ogłoszone w *Zgodzie*, urzędowym organie Związku, zaznacza, że (oprócz wykładów profesora Machnikowskiego, który bliższych danych nie dostarczył) odbyło się ogółem 67 lekcji, — z tych 20 poświęconych dziejom Polski (w hali Pułaskiego, na Kazimierzowie i w hali św. Trójcy, wykładał Siemiradzki), 9 historii Francji (tenże), 22 budowie ciała ludzkiego (wykł. Kurcysz), 5 nauce o różnicach pomiędzy ludami (tenże), 5 historii unii robotniczych (dr. T. Kodis), 6 zasadom filozofii (dr. Kodisowa). Razem na wszystkich wykładach było 1137 słuchaczy. Największą stosunkowo frekwencją cieszyły się: historia polska, anatomia i filozofia, najmniejszą historia Francji. Przeciętnie bywało po 20 osób na każdej lekcji. Całych kursów złożonych z 5 do 8 lekcji, słuchoło osób

58, z której to liczby przypada na kurs budowy ciała ludzkiego 23, dziejów Polski 13, zasad filozofii 12, historii Francji 5, unii robotniczych 4, na naukę o różnicach pomiędzy ludami 1. Obowiązkowa opłata za wykład wynosiła 5 cent.

Sprawozdanie powyższe nie podaje po za temi ogólnymi cyframi, bliższych szczegółów co do rodzaju słuchaczy, ich płci, wieku, zawodów i t. p. Należy się spodziewać, że w dalszych, późniejszych relacjach, układanych na podstawie dłuższego okresu działalności i obfitszego materiału rzeczowego, znajdą się i pod tym względem szczegółowe wykazy.

W *South Bend*, dokąd się z kolei przeniósł »wędrowni uniwersytet« wykładali, prof. Siemiradzki i Kurcysz. Pierwszy odbył ośm lekcji o dziejach polskich porzobiorowych i dwie na temat »polityki polskiej«. Ogólna liczba słuchaczy 296, przeciętna z każdego wykładu 29.6. Drugi wygłosił trzy wykłady »O ziemi« i po jednym na tematy: »Świat niewidomy«, »Drobnowidzowy ustrój ciała ludzkiego«, »Z życia roślin« i »O pierwotnym człowieku«. — miał zaś słuchaczy ogółem 194, przeciętnie na każdym wykładzie 28. Oprócz tego na dwóch mityngach w *South Bend* obaj profesorowie publiczne wygłaszali odczyty, którym przysłuchiwało się sto kilkadziesiąt osób.

Chcąc sami profesorowie zawitali następnie do *Toledo*; doznali tu stosunkowo lepszego jeszcze przyjęcia niż w obu miastach poprzednich. Wykłady trwały przez dwa tygodnie od 14 do 30 lipca, tematy podobne jak w *South Bend*. Na 9 lekcjach Siemiradzkiego o naszych dziejach porzobiorowych było słuchaczy 644, przeciętnie na każdej 72. Kurcysz wykładał: »O drobnowidzowej budowie ciała ludzkiego« (jeden wykład osób 54), i »zasady geologii« (cztery lekcje, ogółem 202 słuchaczy, przeciętnie po 50). Dwa nadto mityngi sprowadzały za każdym razem po 200 ludzi tak, że razem około 1300 osób korzystało tu z wszechnicy ludowej. »Pomiędzy słuchaczami, — donosi *Zgodzie* korespondent z *Toledo* — przeważają starsi wiekiem, poważniejsi obywatele, ale i spora liczba młodzieży uczęszcza na wykłady. Płeć piękna natomiast żadnego nie bierze udziału w zebraniach. Najwięcej słuchaczy ściągają wykłady z polskiej historii. Tutejsza publiczność jest widocznie tego zdania, że nauki dziejów ojczystych nigdy nie może być zawiele i że chociażby się umiało historię ze szkół, książek i obchodów narodowych, to zawsze jeszcze można się czego nauczyć i z żywego słowa... Lud nasz potrzebuje poważnego i racjonalnego pokarmu umysłowego, chce wiedzieć o tem, co się w starym kraju dzieje, co myślą i w jaki sposób pracują dla ojczyzny prawdziwi patryoci, garnie się więc chętnie do nauki tam, gdzie go nie bałamucą ludzie, działający pod wpływem osobistych pobudek...« Nadmienić wypada, że ludek nasz za Oceanem nie tylko chętnie uiszcza obowiązkowe opłaty za lekcje, ale nadto dobrowolnymi ofiarami często gęsto wspomaga »wszechnicę«. W *Toledo* np. złożono na jej cele z drobnych składek kwotę 12 dolarów 87 ct.

Dalszym etapem wędrownego uniwersytetu był *Pittsburg*. W przejeździe przez *Detroit* dnia 2 sierpnia profesor Siemiradzki wygłosił na posiedzeniu miejscowego Towarzystwa Przyjaciół oświaty odczyt »O polityce narodu polskiego w ostatnim stuleciu«. Obszerna sala była natłoczona słuchaczami. Z *Pittsburga* nie nadesłano jeszcze sprawozdania, wiadomo tylko, że obaj profesorowie mieli się następnie udać z wykładami do rozmaitych osad polskich w Pensylwanii.

Z uwagą śledzić będziemy dalsze postępy i stopniowy rozwój polsko-amerykańskiej ludowej wszechnicy.

= *Wiec polski w Westfalii.* W Dortmundzie, gdzie obradował wiec ogólny katolików niemieckich, zwołano jednocześnie wiec katolicki polski, na który przybyło 1500 do 2000 osób. Przewodniczył zebraniu prezes miejscowego Towarzystwa polskiego p. Jaensz. Na wniosek p. Mąkowskiego zebrani prawie jednogłośnie uchwalili wysłanie odezwy do wieceu katolików niemieckich z prośbą o poparcie żądań Polaków w sprawach duchownych, zwłaszcza w sprawie wyznaczania księży, znających język polski.

Polacy w Westfalii dzielą się na dwa stronnictwa, a raczej na dwie wielkie koterie. Jedni trzymają z księżmi, właściwie z przebywającymi tam Franciszkanami, drudzy kupią się około redakcyi *Wiarusa polskiego*. Różne przyczyny, w znacznej mierze pobudki osobiste wywołały niesnaski, ostatecznie jednak spór toczył się o to, czy w sprawach narodowych duchowieństwo może mieć głos decydujący. Pisaliśmy już o zajściach z księżmi, zwłaszcza z awanturniczym ojcem Andrzejem, który wojował z towarzyszami polskimi w sposób skandaliczny. Echa tej waśni słyhać było i na wiecu ostatnim. Franciszkanin O. Korneliusz wystąpił z pretensją do komitetu wiecowego, że nie zaproszono urzędownie proboszczów. Jakkolwiek p. Brejski, redaktor *Wiarusa*, wytłómaczył, że wiec zwołano nie tylko dla narady w sprawach religijnych, ale głównie dla narady w sprawach narodowych, o których duchowieństwo miejscowe nie jest należycie poinformowane i wcale się o nie nie troszczy, — wyjaśnienie to nie uspokoiło stronników O. Korneliusza. Wszczęli oni taką wrzawę podczas przemówienia p. W. Leitgebra z Kolonii, że komisarz zagroził rozwiązaniem zebrania. Opamiętali się wtedy krzykacze, ale kilkakrotnie jeszcze przerywali mowcy, kiedy kładł nacisk na konieczność pracy zbiorowej w duchu narodowym.

Uchwały wiecu zredagował p. Leitgeber; podajemy je według pism poznańskich:

»Polacy-katolicy zgromadzeni na wiecu w Dortmundzie w dniu 23-go sierpnia r. 1896 oświadczają, że uważają za swój najświętszy obowiązek trzymać się Kościoła św. i ojczyzstego języka i wychować dzieci swe na gorliwych katolików i Polaków.

Zważywszy, że lud polski w prowincjach niemieckich nigdy nie będzie miał dostatecznej polskiej opieki duchownej, jak w stronach rodzinnych, a nadto narażony jest na wynarodowienie i germanizacyą, będą zgromadzeni żyli trzeźwo i oszczędnie, aby z zebraniem groszem *jaknajrychlej wrócić w strony ojczyzny* i tam nabyć kawałek ziemi, lub otworzyć interes handlowy albo przemysłowy.

Ponieważ Polacy według wszelkiego prawdopodobieństwa w tych stronach pracować nie przestaną, dopóki tu górnictwo i przemysł fabryczny kwitnąć będą, przeto postanawiają zgromadzeni popierać jaknajgorliwiej wszelkie zabiegi, podejmowane w celu zabezpieczenia Polakom na obczyźnie dostatecznej opieki duchownej nie tylko w czasie obecnym, lecz także na przyszłość.

Zgromadzeni Polacy-katolicy *upraszają* władze duchowne jaknajpokorniej o ustanowienie *odpowiedniej liczby władających językiem polskim kapłanów*, którzyby zaspakajając mogli w dostatecznej mierze religijne potrzeby Polaków-katolików.

Istniejące katolicko-polskie towarzystwa uważają zgromadzeni za bardzo pożyteczne i pragną, aby także nadal działały w dotychczasowym duchu, iżby ich dotychczasowy charakter katolicki i polski pod żadnym względem nie został naruszony.

W tym samym czasie odbył się wiec polski w Gelsenkirchen (w Westfalii), na którym również uchwalono wezwać wiec katolicki w Dortmundzie o poparcie żądania Polaków, którzy chcą mieć księży rodaków.

Na tym wiecu odzywali się niektórzy mowcy, że podczas przyszłych wyborów Polacy w Westfalii postawią własnego kandydata na posła. Była to zapewne pogroźka, ale katolicy niemieccy powinni zwrócić na nią uwagę, bo chociaż Polacy posła swego nie wybiorą, ale centrum stracić może kilkanaście tysięcy głosów.

= *Muzeum rapperswylskie i Skarb narodowy.* Dnia 11 sierpnia odbył się w Rapperswylu doroczny zjazd rady muzealnej. Przybyło nań 7 członków zarządu i 4 członków korespondentów; nadto z rozmaitych stron kraju garstka rodaków, którzy spotykają tu na każdym kroku pamiątki dawnej sławy narodowej i żywe świadectwa porozbiorowych klęsk i cierpień. W rozwoju Muzeum zaszły w ciągu ostatnich kilku lat widoczne zmiany na lepsze. Zamek odrestaurowany zupełnie, zbiory uporządkowane, wejście na górę zamkową od miasteczka wygodne i wspaniałe. Społeczeństwo polskie interesuje się instytucyą rapperswylską z każdym niemal rokiem żywiej, a realnym dowodem tego są znaczne zapisy na rzecz Muzeum. Nie dają one jednak na razie żadnych prawie dochodów, bo każdy z tych zapisów zawiera legaty dożywotnie, — tak, że zarząd muzealny jest właściwie w chwili obecnej i na cały szereg lat jeszcze, tylko administratorem obcych funduszy. Wynika stąd trudność nie mała, mnożą się roboty kancelaryjne, bo każdy taki fundusz musi mieć osobne rubryki, coroczny budżet muzealny obejmuje przeto rozliczne sprawozdania, ilustrowane kolumnami cyfr i wykazami walorów. Całą tę mozolną pracę pełni sam jeden bezinteresownie, z niezwykłym poświęceniem, zasłużony prezes rady muzealnej, pułkownik *Józef Gąbzewski*, któremu też bardzo słusznie rada na wniosek prof. Laskowskiego gorąco wyraziła uznanie i wdzięczność. Uchwalono również udzielić prezesowi kredytu do wysokości 500 franków na opłacenie pomocy kancelaryjnej.

Po załatwieniu zwykłych, wstępnych formalności zamianowała rada członkami korespondentami Muzeum: ks. Wacława *Nowakowskiego*, ze zgromadzenia Kapucynów w Krakowie, rektora Pijarów ks. Tadeusza *Chromieckiego*, posła Jana *Rottera*, Bronisława *Szwarczego*, Jana *Skirlińskiego*, prezesa krak. Tow. im. Kościuszki, dra Zygmunta *Kostkiewicza*, dra Lesława *Borońskiego* Zygmunta *Lewakowskiego*, wreszcie posłów sejmowych Jakóba *Bojleg* i Franciszka *Wójcika*, którzy właśnie do Rapperswylu przybyli. Obaj też na wezwanie przewodniczącego brali udział w dalszych posiedzeniach rady z głosem doradczym.

Ożywione obrady wywołała następnie sprawa rozdania stypendyów z funduszu hr. Krystyna Ostrowskiego. Procenta kapitału fundacyjnego przyniosły wprawdzie 13,400 fr, po opłaceniu wszakże stypendystów dawniejszych, pozostało dla nowych tylko 2,400 fr. Jedynie dzięki ofiarności członków rady, którzy w ostatniej chwili złożyli 2000 fr., można było ułatwić 9 młodym ludziom, między nimi 2 kobietom, dalszą pracę naukową na uniwersytetach zagranicznych i krajowych. Natomiast budżet muzealny na r. 1897 wykazał znaczny niedobór, głównie wskutek budowy mauzoleum na pomieszczenie serca Kościuszki. Składki na ten cel w kraju zebrane, przyniosły dotąd zaledwie 3000 fr., budowa zaś pochłonie około 11000 fr. Uroczyste otwarcie mauzoleum nastąpić ma w roku przyszłym podczas zjazdu rady muzealnej.

Dalszym przedmiotem narad były sprawy administracyjne, a po ich załatwieniu pułkownik Miłkowski zdał sprawę z prac dokonanych w Muzeum w r. 1895 i udzielił cennych wskazówek co do dalszego uporządkowania biblioteki, dotychczas obszernej memoryał jednego z pierwszorzędnych malarzy polskich o urządzeniu sali obrazów i rzeźb.

Równocześnie obradowała Komisya zarządzająca *Skarbem narodowym*. Fundusze Skarbu, w depozycie muzealnym, wynoszą obecnie przeszło 133.700 fr. Wzrost ich, ostatnimi czasy szczególnie pocieszający, zawdzięczyć należy przedewszystkiem patryotycznej ofiarności rodaków naszych, zamieszkałych w Ameryce. Z tego powodu uchwalono przesłać serdeczne podziękowanie ob. Jahłońskiemu i stowarzyszeniom polskim za Oceanem.

Zjazd rapperswylski zakończył się skromną, pożegnanią ucztą, która w hotelu „*du lac*“ zgromadziła całą kołonią polską. Uczestniczyli w niej również obaj posłowie włościańscy, zwracający na siebie wszystkich uwagę. Z szeregu wygłoszonych przemówień wyjmujemy dwa, ze względu na ich treść ogólniejszego znaczenia. Pułkownik *Milkowski* zwracając się do posłów ludowych podniósł zabiegi Tow. demokratycznego około usamowolnienia włościan. Było to dziełem szlachty i inteligencji polskiej, która krwią i męczeństwem najlepszych synów swoich zmasała winy z przeszłości i zdobywała wolność dla klasy najliczniejszej, a do niedawna jeszcze wydziedziczonej. Czci godnemu weteranowi odpowiedział poseł *Bojko*, oświadczając, że włościanie polscy nie czują wcale nienawiści do szlachty ani nie pragną walki klasowej. Traktowani dotąd jeszcze nieraz z lekceważeniem, czują oni jednak pewną gorycz, która objawia się od czasu do czasu w przemówieniach publicznych. Mimo to wiedzą włościanie dobrze, komu zawdzięczają wolność, znają dzieje polskiej martyrologii i z czcią uchylają czoła przed męczennikami sprawy narodowej. Widok pamiątek nagromadzonych w Muzeum budzi w nich wspomnienia narodowej chwały i nadzieję lepszej przyszłości.

PZREGLĄD PRASY.

— Pisma poznańskie podają z uznaniem następujący urywek z przemówienia ks. Stephana w Opolu.

„I aby jasno powiedzieć, co u nas znaczy moeno stać przy Kościele katolickim, jedno to twierdzą: *u nas potrzeba zachować mowę polską, a z mową polską i obyczaje polskie, śpiewy polskie, ubiory polskie*, a nadewszystko to, czem się lud polski zawsze od innych odznaczał przywiązanie do duchowieństwa. Bez zachowania mowy polskiej i bez miłości kapłanów u nas trudno będzie zachować wiarę katolicką, to każdy rozumny człowiek uznaje. Dlatego, kochani, ponieważ po polsku teraz w szkołach nie uczą, sami *uczcie dzieci po polsku pisać, czytać, mówić, śpiewać*; bo po niemiecku mówić jest potrzeba, ale polską mowę utracić jest to hańba i grzech.

„Więc najmilsi, niech ten wykład o położeniu Ojca św. w Rzymie się przynajmniej nieco przyczyni do tego, żebyście byli i pozostali katolikami, a będziecie katolikami jeżeli będziecie Pnlakami.“

Gazeta Opolska zgadza się, że są to śliczne słowa, ale dodaje, że ten sam ksiądz Stephan agituje wciąż przeciw narodowej prasie polskiej na Śląsku, nie przebieirając w środkach. Słusznie więc pyta *Gazeta*:

„Czy powyższe słowa podyktowała ks. Stephanowi *wyższa polityka* albo czy też rzeczywiście pochodzą one ze *szczerzego przekonania*?“

— Poseł Edward Gniewosz, z którego »Rozmyślań wakacyjnych«, drukowanych w *Gazecie Sanockiej*, podaliśmy niedawno charakterystyczny ustęp o »Sobkach«, w dalszym ciągu niemłosierną rżnie prawdę przywódcom galicyjskiego konserwatyzmu. Jako temat, do »rozmyślań« nader wdzięczny, posłużył długoletniemu posłowi tym razem znany komunikat, mieniącego się sejmowym komitetu przedwyborczego, który, jak wiadomo, wzywa komitety okręgowe, aby uwzględniły przekonania rozmaitych stronnictw i przyrzeka, że te różnice polityczne znajdą także w Kole polskiem w Wiedniu sprawiedliwość i ochronę przed majoryzowaniem, byleby tylko na zewnątrz bezwzględna solidarność była zachowana.

„Radziłyśmy pojąć — pisze p. E. G. — jak przy zasadzie absolutnej solidarności zaznaczyć się może zasada, zdanie lub pojedyncza uchwała, mająca wszystkich obowiązywać, jak nie przez głosowanie, które zawsze okazać musi mniejszość i większość. Ciekawem jest również rozważanie zagadki, jakto myślał zarządzić nasi mężowie stanu, aby mimo istnienia odmiennych zapatrywań bez tychże zagłuszenia, majoryzowania, przeprowadzić przy pomocy solidarności żądanie większości i zarazem mniejszości. Czyż będzie wolno mniejszości bronić swoich zapatrywań w Izbie samoistnie? Panowie ci przemilczają, że radziły tak jak bywało, zrobić z Koła nadal zawsze bezprawne ciało parlamentarne, któreby i w przyszłości stłumiło w sobie wszelkie przekonania, przeciwne dążeniom ich stronnictwa, któreby każdej chwili było gotowem do ślepych usług dla rządu i niedopuszczalo niemiekiej im kontroli obywatelskiej przez paraliżowanie prawa petycyjnego i interpelacji, którego członkowie wyparliby się zaprzysiężonego obowiązku niezłomnego przestrzegania ustaw zasadniczych, ubarwiając to frazesem obrony krajowej autonomii t.j. oportunistycznej gospodarki krajowej. Ci nasi opiekunowie tak są przesiąknięci, w swoim duchu i interesie pojętym patryotyzmem narodowym, owym galicyjsko-obywatelskim konserwatyzmem, że pozostają ze swym ołowianym ciężarem przy tem, co było, bez względu na ciągłe zmiany w społeczeństwie, że nie poszli nawet za przykładem mężów zaufania w innych krajach, a nawet innych krajowych stronnictw, aby zastanowić się nawet nad jakimkolwiek programem politycznym, wysoko cenić wyborców, a mniej tych upatrzonych kandydatów poselskich!

Wystawili oni jedynie *stary, zbrukany sztandar narodowej solidarności!* Czyż człowiek z przekonaniem ceniący siebie i godność poselską, może jedynie dla tego hasła ciemnego, próżnego, bez wewnętrznej treści, chyba z góry duszą i ciałem, z zamkniętymi na kłódkę ustami, zapisać się do Koła, którego składu i właściwych tendencji nie zna? Jedyne ten, którym do zdobycia krzesła w Radzie państwa powoduje albo próżność lub rachuba, pójdzie za wezwaniem!

Czyż może przewodniczący „*Koła*“ jest wogóle, jako polityk za poważnego uważany i wraz z kolegami w komitecie centralnym cieszy się taką powagą, iżby na tej podstawie mogli ci panowie żądać, aby wyborcy i mężowie politycy się poświęcający, oddali się ich przewodztwu? Jacy mężowie, z jaką powagą formować będą komitety po kraju?

W chwili, w której rozwijać się ma nowy ustrój Rady państwa, do której wstąpią nowe stronnictwa, w chwili, w której we wszystkich krajach, a co nas najbliższej obchodzi, u nas występują i działają nowe prądy — występuje zadawiona instytucja, która doznała objawów nieufności i symptomatów marazmu! W chwili takiej miasto nowej idei, nowego programu, wydobywają z archiwum swego bałamutne wezwania z nieloicznymi dodatkami!... Czy to trochę nie za ryzykowna... igraszka?!

Trafne te uwagi, do których nie dodawać nie potrzeba, kończą się dowcipną apostrofą do Wojciecha Dzeduszyckiego, vulgo »Ateńczyka«, jak wiadomo, autora odezwy komitetu i zarazem pierwszego kandydata na prezesa Koła po Zaleskim, powszechnie za »niedołęznego« uznanym:

„Panie hrabio Adalbercie! Widać, że do twoich Aten przydałaby się sowa. *Niezgaszone przez was tj. przez ciebie i tych, którym przewodzisz, światło zapala i rozszerza się u ludu!*

Przed tobą już dość dokładnie były stosunki dawnych Aten wyświecone, oddaj się raczej ściślejszemu badaniu dziejów własnego narodu, a przekonasz się, że tymi środkami, których używacie, i na tej drodze, którą kroczycie, *nie urzeczywistnisz idei Jagiellońskiej*, której użyciem, jako hasła, wpiśałeś się między polityków galicyjskich“.

— Korespondent *Moskowskich Wiedomosti*, podpisujący się „*Warszawskiej starożi*“, spokrewniony widocznie zajęciem ze sferami, do których należy tropienie działalności przeciwpaństwowej, w następujący sposób przedstawia propagandę tajną, prowadzoną w Kongresówce:

„Nie mija miesiąc, ażeby w kraju nie rozrzucono najbardziej podburzających odezwo, pobudzających lud do wystąpienia przeciw rządowych. A tajna propaganda idei odbudowania Polski, prowadzona śród ludu! Kto śmie zaprzeczyć np. wiarygodności faktu, ujawnionego przypadkowo w roku ubiegłym, że kółko studentów Nowoaleksandryjskiego (Puławskiego *przyp. red.*) instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa,

systematycznie prowadziło propagandę przeciwrządową wśród okolicznych włościan polskich? Propaganda ta, prowadzona bezkarnie przez lat wiele, okazała się skutkiem przyjętego przez inteligencję polską hasła: „Przez oświecony lud — do niepodległej Polski“. Z początku członkowie kółka, kierowanego widocznie przez rękę doświadczoną i wytrwałą, ostrożnie zbliżali się do włościan wsi sąsiednich, wdawali się z nimi w rozmowy i dawali do czytania książki, dozwolone przez cenzurę warszawską. Potem zaczęli urządzać po wsiach zebrania, na których czytano i objaśniano włościanom różne ustępy z dziejów Polski, zwłaszcza na temat dawnej wielkości Polski i jej upadku. Bardziej przygotowanym i rozwiniętym słuchaczom ostrożnie podsuwano myśl o nienormalności obecnego położenia rzeczy i o możliwości odbudowania Polski, przy pomocy włościan i w ogóle ludu prostego. W miarę postępu tego „patriotycznego“ przygotowania włościan, zmieniła się i charakter książeczek, dawanych im do czytania. Wydawnictwa warszawskie ustąpiły miejsca tendencyjnym, zagranicznym wydawnictwom polskim „Macierzy polskiej“, „Szkoły Ludowej“ (jak wiadomo, towarzystwo „Szkoły ludowej“ żadnych książeczek nie wydaje, *przyp. red.*), „Przyjaciela Ludu“ i wielu innych. Ponieważ atoli, według pojęć młodzieży, przyszła Polska powstanie na zasadach demokratycznych i socjalistycznych, najbardziej przygotowanym włościanom dawano także do czytania broszury treści socjalistycznej. Członkowie kółka, podzieliwszy między siebie okoliczne wsie pow. nowoaleksandryjskiego (puławskiego *przyp. red.*), odbywali wycieczki i do graniczących z nim miejscowości gubernii radomskiej, w tym samym celu niby — oświecającym. Propaganda robiła postępy i prace paniczów polskich nie były daremne. W czasie odkrycia kółka, miało ono już w swem rozporządzeniu włościan, którzy nie tylko sami przejęli się dążnościami „patriotycznymi“, ale też starali się rozpowszechniać je w swem otoczeniu; w wielu zaś wsiach istniały tajne biblioteczki ruchome, dopełniane wydawnictwami zagranicznymi, dochodzącymi tu drogą kontrabandy“.

Z powyższego opisu widać, że autor jego miał jakiś udział w ostatnim procesie studentów puławskich, naturalnie, nie jako oskarżony. Mamy tu opis propagandy nie takiej, jaką była, ale jaką się przedstawiła żandarmom po przeprowadzonym śledztwie. Pomijając pewne zastrzeżenia, któreby należało zrobić, czytelnik dowiadyuje się od p. „Starożyła“ nie tyle, jak jest prowadzona dziś agitacja wśród ludu w Królestwie, ale jak ją właściwie powinno się prowadzić.

— Znany już czytelnikom naszego pisma publicysta rosyjski „Nabludatiel“ łączy się w usiłowniach z heroldami *Kraju* i *Czasu*, wykazując, że społeczeństwo polskie przejęte jest lojalizmem i uczuciami wiernopoddańcami.

„Szowiniści polscy — pisze znów w *St. Pietierburgskich Wiedomostiach* — przy pomocy polskiej prasy zagranicznej, starali się dowieść, że społeczeństwo polskie wobec uroczystości Świętej Koronacji Ieh Cesarskich Mości nie tylko zachowało się obojętnie, ale i z ukrytą zawiścią; że robotnicy polscy i włościanie świętowali przymusowo i że wogóle wynurzenia uczuć wiernopoddańczych, złożone z tego powodu przez tutejszą ludność, są dziełem administracji miejscowej i nie wspólnego z rzeczywistym usposobieniem ludu nie mają. Wszystkie te zmyślenia w zupełnej są niezgodzie z prawdą i dają się zaprzeczyć za pomocą licznych faktów. Nawet ta inteligencja polska, która wogóle nie psuje nas objawami przychylności, odstąpiła tym razem od zwyczaju i przejęta do głębi wielkością wydarzenia i poczuciem jego doniosłości dziejowej, porzuciwszy na stronę wszelkie uprzedzenia, złąła się ze społeczeństwem rosyjskim, aby pospołu a przyjaźnie święcić to wydarzenie. O włościanach polskich niema co mówić: byli oni wzorem wiernopoddańczego oddania się i n dawali ton innym (??)“.

Tych licznych atoli faktów, o których wyżej mowa, autor nie przytacza i poprzestaje na jednej anegdotce o chłopach z pow. jędrzejowskiego, którzy nie dali żydowi dzierżawcy we wsi sąsiedniej zapędzić ludzi do roboty w dzień koronacji. Zato na faktach już opierając się, wspomina p. Nabludatiel »jeszcze o innym radosnym objawie, świadczącym o nowym prądzie, o nowem na stosunki z Rosją zapatrywaniu, budzącem się w łonie społeczeństwa polskiego«.

Przyczyna tego »nowego prądu« jest dla p. N. zupełnie jasna.

„Ogrom Rosyi — powiada on — jej wszechświatowe znaczenie i potęga wewnętrzna, która dała znać o sobie w sposób jasny i oczywisty, zachwiały zupełnie grunt pod nogami tych kierowników polskiej opinii publicznej, którzy w osłabieniu Rosyi upatrywali rękomię szczęścia własnego i budowali na niem cały gmach rojeń o przywróceniu Polski niepodległej“.

Czytelnik domyśla się pewnie, gdzie p. Markgrafskij, chcieliśmy powiedzieć — Nabludatiel, znalazł dowody na poparcie swego twierdzenia. Gdzieżby, jak nie w bohater-skich występach takich pp. Straszewiczów, którzy wybrawszy sobie najtańszy i najlepiej opłacający się sposób »zbawiania ojczyzny«, obrażają w łamach odpowiednich organów zdrowy rozsądek polityczną naiwnością, a dobry smak — napuszonym stylem, z góry obliczonym na przytaczanie w róbryce »złotych« myśli politycznych — *Kraju*.

„Znaleźli się ludzie wybitni — mówi z respektem p. N. — o poglądach szerszych, rozleglejszych, którzy mieli odwagę w druku oświadczyć, że stronienie od narodu rosyjskiego, a tem samem od całej Słowiańszczyzny, niepowetowaną przyniesie krzywdę interesom Polaków i którzy wzywali społeczeństwo polskie, aby faktycznie i w pełni świadomości ująwniło swą lojalność względem państwa, do którego składu należy, nie czyniąc bynajmniej tej lojalności zależną od spodziewanych ustępstw. Ludwik Straszewicz w petersburskim *Kraju* i ktoś inny, piszący pod pseudonimem „Ja“ w krakowskim *Czasie*, jednocześnie prawie ubolewają nad brakiem odwagi cywilnej pośród wybitnych członków społeczeństwa polskiego, którzyby nie wahali się krzewić „nowych myśli, bardziej dojrzałych i skończonych, myśli zgodniejszych z współczesnym stanem rzeczy“.

„Nie ulega wątpliwości, że ten głos dwóch wpływowych organów prasy polskiej, nawołujący, aby nie tracić napróżno sił narodowych na bezowocną walkę, nie rokującą powodzenia, nie pozostanie bez następstw w najbliższej przyszłości dobre przyniesie owoce. Ale nie wątpimy również i o tem, że apostołów nowej idei czeka uporeczywa walka z szowinistami starego autoramentu, którzy teroryzują społeczeństwo i ludźką niedoświadczoną a gorętszą młodzież oklepanymi frazesami i programami („czynnej obrony“, „biernej opozycji“, „pracy organicznej“ i t. d.), które autorowie ich zalecają jako niezawodną receptę na wskrzeszenie ukochanej, drogiej zmarłej, t. j. niepodległej Polski. Swoją drogą jednak ważny to fakt, że w łonie tutejszego społeczeństwa polskiego dają się słyszeć głosy trzeźwe, że dają się zauważyć i usiłowania, dążące do strącenia z siebie jarzma, narzuconego przez szowinistów“.

„Wierzmy, że w Warszawie oprócz p. Straszewicza zdobędą się i inni na tyle mężstwa, że wskażą społeczeństwu polskiemu prawdziwą drogę do osiągnięcia możliwego celu — zachowania narodowości polskiej, przy zupełnem wyrzeczeniu się pretensji do ziszczenia niedosiężnych marzeń o niepodległym bycie politycznym. Poważnych przeszkód Polacy na tej drodze nie spotkają, albo wtem rząd rosyjski nigdy nie dążył do przerobienia Polaków na Rosyan, naród zaś rosyjski nie żywił i nie żywi chęci pochłonięcia drogą przemocy narodowości polskiej“.

Jak widzimy p. Nabludatiel, nie chwalać się swą cywilną odwagą, jak to czyni ciągle p. Straszewicz, ma jej o wiele więcej: z zimną krwią, bez zająknięcia się powiada on publicznie, iż »rząd rosyjski nigdy nie dążył do przerobienia Polaków na Rosyan... Rząd nie dążył, naród rosyjski także nie — więc któż u licha? ...

Przewidując to pytanie, p. N. czyni uboczną uwagę:

„Prawda, że drugorzędni przedstawiciele rosyjskiej administracji, niewiele obznajomieni z rzeczywistymi zamiarami i celami rządu naszego, w porwywie niedorzecznej gorliwości zachodzili zbyt daleko, dając powód do skarg na represje i ucisk narodowości polskiej“.

Dobrze. Wyznanie to zasługuje na pochwałę, z tem atoli zastrzeżeniem, iż nie należy obrażać tak zasłużonych mężów, jak Apuchtin, Hurko, Orzewskij i t. p., przez zaliczanie ich do »drugorzędnych przedstawicieli administracji«.

ani przypisywać im braku obznajomienia »z rzeczywistymi zamiarami i celami rządu«, bo samo pozostawianie tych ludzi na stanowiskach, ciągłe działanie ich w jednym kierunku oraz dowody uznania ze strony monarchy, najlepszym są dowodem, że ci mężowie są nie tylko z rangi i stanowiska, ale i ze sposobu myślenia — przedstawicielami rządu.

Należało się spodziewać, że publicysta rosyjski postara się zmniejszyć winę swych kolegów i zwierzchników »zachodzących zbyt daleko«, używając starego sposobu oskarżania prasy zakordonowej o przesadzanie rzeczywistości.

„Ale ileż to było wypadków — mówi on w dalszym ciągu — że skargi te były przesadzone, drobne fakta w oświetleniu zagranicznej prasy polskiej przedstawiały się jako klęski jakieś narodowe, a nierozumne czyny jednostek tłumaczone były jako rezultat ogólnego systemu rządowego.

„Nieraz już przychodziło mi pisać o tem, jak straszną krzywdę przynosi każdy krok nieostrożny drobnych przedstawicieli naszej administracji sprawie pojednania się ludności polskiej z rosyjską ideą państwową, skutkiem tego właśnie, że usłudni publicyści polscy, uzbroiwszy się w szkła silnie powiększające i nadużywając danej im za kordonem wolności prasy, dążą do zaognienia konfliktu między ludnością polską a rządem rosyjskim i do poderwania powagi rządu w oczach ludu polskiego. To się rozumie, że w sąsiedniej nam Galicyi, którą Polacy zowią „jedyną swobodną dzielnicą polską“, tamtejsza administracja polska daleko częściej dopuszcza się rzeczy niezgodnych z prawem, a na każdym kroku uciska prawa ludności, zapewnione konstytucyą, ale... tam rzecz inna, inne względy, inna polityka i inna miara“...

A teraz zobaczymy, dokąd zmierza nasz »przyjaciel« w granatowym mundurze.

„Publicyści polscy i kierownicy opinii publicznej — czytamy w zakończeniu — zalecający bezwarunkowe pojednanie z Rosyą, winni przedewszystkiem oddziaływać na tę część inteligencji polskiej, która szuka zbliżenia z prostym ludem, szczególnie zaś z włościanami, w celu obudzenia obcych tej sferze dążeń politycznych. Dalej winni pociągnąć przed sąd opinii publicznej klikę szowinistów, podniecających namiętności, siejących niezgodę i prawiących o możliwości przywrócenia Polski w granicach z roku 1772. A potem sprawa zbliżenia dwóch pokrewnych narodów będzie już tylko kwestyą czasu“.

Tu p. Straszewicz *et consortes* dowiadują się, że pozostaje im tylko drobna rzecz, mianowicie... zostać współpracownikami nowo założonej kancelaryi przy boku pomocnika generał-gubernatora do spraw policyjnych, wyłapywać literaturę odchodzącą rąk ludu, denuncyować ludzi, którzy zajmują się oszczędaniem mas i t. d. Nie powiedziano tego wyraźnie, ale domyśleć się łatwo.

To zakończenie tłumaczy nam cały artykuł. »Trzeźwo myśląca« część inteligencji polskiej potrzebna jest rządowi do przeciwdziałania budzeniu się wśród ludu samowiedzy narodowej. Czy zechce się do tego wziąć — nie wiemy; ale gdyby umiała to zrobić — co do czego p. N. może się nie łudzić — niewątpliwie »zbliżenie dwóch pokrewnych narodów« pozostałoby tylko »kwestyą czasu«.

Z OBCEGO ŚWIATA.

— *Zachowawcy angielscy i powstanie na Krecie.* Pisma nasze wychwalają politykę hr. Gołuchowskiego w sprawach tureckich, przyznając jej zręczność, pomysłowość i — co stanowi najwyższy stopień pochwały, dążenia zachowawcze. Projekt hr. Gołuchowskiego nie został wykonany wskutek opozycji Anglii. Blokada wyspy pomogła by rządowi tureckiemu do zduszenia powstania. Sprawa drażliwa byłaby w ten sposób na pewien czas załatwiona,

wszystko pozostałoby po dawnemu i zasada zachowawcza odniosłaby tryumf nowy.

Niestety zachowawcy angielscy inaczej pojmują zachowawczość i popsuli plan tak znakomity. »U nas w Anglii« — pogardliwie odpowiada prasie niemieckiej *Standard* — »żadne stronnictwo nigdy nie uznawało prawa boskiego do złego rządzenia«. Dziennik torysowski nie może zrozumieć: dla czego każde powstanie należy z zasady potępiać, dla czego polityka zachowawcza powinna zawsze przeciw powstaniom występować. Należałoby posłać do Anglii kilku stańczyków krakowskich, którzyby nauczili torysów »prawdziwej zachowawczości«. Jest to objawem bardzo znamienym, że polityka angielska względem Turcyi liczyć się musi z opinią publiczną narodu, oburzonego okrucieństwami mużdżanów. Jeden z wybitniejszych polityków angielskich otwarcie wyznał, że żaden gabinet, któryby popierał Turcyę, nie mógłby się utrzymać, bo obaliłoby go oburzenie powszechne. »Jeżeli Niemcy — powiada *Standard* — dbają o kości swych grenadyerów pomorskich, to Anglia nie może się zgodzić na to, żeby kości mieszkańców Krety rzucane były na pastwę psom i szakalom«.

Znaczenie czynników moralnych w polityce narodu tak praktycznego, jak Anglicy, wydać się może dziwnem. Ale praktyczność angielska nie ma nic wspólnego z ciasną i tchórzliwą praktycznością polityków kontynentalnych, lękających się najbardziej użycia środków stanowczych, chociażby te były koniecznymi, i pojmujących zachowawczość jako utrzymanie tego, co istnieje. Żadnemu politykowi angielskiemu nie przyjdzie do głowy koncept, że utrzymanie pokoju jest najważniejszym, bodaj jedynym celem państwa, i żaden dziennik nie będzie wychwalał tego rodzaju mądrości politycznej.

Dzienniki rosyjskie i francuskie gniewają się na Anglię za brak »taktu« politycznego, za jawne niemal podburzanie chrześcian przeciw rządowi tureckiemu. Oddają natomiast pochwały polityce hr. Gołuchowskiego, który zdaniem *Temps'a* »zasłużył na wdzięczność całej Europy«. Niewątpliwie cała Europa Anglii wdzięczną nie będzie, ale mieszkańcy Krety otrzymali przynajmniej reformy, których rząd turecki nie byłby wprowadził, gdyby »dążenia zachowawcze« nie spotkały oporu ze strony gabinetu brytyjskiego

— *Postępy niemczyzny w Alzacyi.* Ponieważ w jednym z okręgów alzacko-lotaryńskich podczas świeżo dokonanych wyborów uzupełniających kandydat narodowy otrzymał 8.150 głosów, zaś kandydat rządowy, mimo poparcia władz, tylko 5237 głosów, — niektóre pisma nasze widzą w tem wymowny dowód bezsilności usiłowań germanizacyjnych.

Przeciwnie, cyfry te wykazują zgoła co innego, mianowicie olbrzymi postęp germanizacji w znaczeniu wpływu państwowego niemieckiego. Z 13 posłów do parlamentu z Alzacyi i Lotaryngii 7 już tylko należy do stronnictwa protestu. Te 5237 głosów w znacznej większości oznaczają ludzi, zjednanych już dla panowania niemieckiego. Osadnictwo niemieckie w tych prowincjach zabranych jest bardzo słabe, bo zaludnienie było tam już w r. 1870 gęste. Przybyło tylko trochę urzędników i kupców, którzy przecie nie mogli dostarczyć kandydatowi rządowemu nie tylko 5000, ale nawet 500 wyborców w jednym okręgu.

Dodać trzeba, że najskuteczniej pozyskują te prowincje dla Niemiec, chociaż nie dla rządu — socjaliści. Mają tam oni coraz więcej głosów; Bebel stawiał swoją kandydaturę w Strasburgu.

Porównanie stosunków alzacko-lotaryńskich ze stanem rzeczy w ziemiach polskich powinno dodać nam otuchy. W Księstwie i w Prusiech Zachodnich już przed stu laty,

w epoce ostatniego rozbioru, żywił niemiecki stanowił znaczny odsetek mieszkańców. Zaludnienie było rzadkie, a rząd nie szczędził i do dziś dnia nie szczędzi nakładów w celu sprowadzania osadników niemieckich. A jednak, pomimo wyższości kultury materyjalnej niemieckiej, pomimo stosowania niezwyklej siły państwowej, żywił polski nie osłabł politycznie, owszem wzmacnia się na siłach. My niestracimy mandatów, ale coraz nowe zdobywamy. Terytorium narodowe rozszerzyło swe granice, w epoce niewoli odzyskiwać zaczęliśmy Śląsk dla sprawy polskiej i odzyskamy wkrótce Mazowsze pruskie.

Księstwo Poznańskie po stu latach germanizacji jest dziś bardziej polskiem, niż Alzacja i Lotaryngia francuska po dwudziestu pięciu. Prowincje te zapominają już zaczynają o Francji i Francya o nich zapomina, chociaż sąsiedztwo bezpośrednie powinno utrzymywać łączność narodową.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

— Marya Wyśouchowa. *Seweryn Goszczyński*. (Wydawnictwo imienia Kasyldy Kulikowskiej). Lwów 1896.

Jest to dosyć obszerny a przystępnie napisany życiorys znakomitego poety. Autorka znana z szeregu podobnych prac popularnych, szczegółowo opisała koleje życia poety, który zarazem był żołnierzem i jednym z wybitniejszych przedstawicieli dążeń demokratycznych. Liczne wyjątki z utworów Goszczyńskiego, trafnie dobrane, przeplatają treść książki, z której nie tylko czytelnik z ludu, ale i człowiek inteligentny korzyść prawdziwą odnieść może.

— Stefan Surzycki. *Die landwirtschaftlichen Betriebsmittel in ihrem Einflusse auf den Zustand und die Entwicklung des Grossgrundbesitzes sowie der Bauernwirtschaften in Galizien*. Lipsk, 1895.

Każdemu, kto się chce zapoznać ze stosunkami społecznymi i ekonomicznymi Galicji, książka daje obfity materiał starannie zebrany i zestawiony. Szczegółowa jej ocena nie należy do naszego pisma, zaznaczamy więc tylko życzenie, żeby praca p. Surzyckiego ukazała się w języku polskim.

KRONIKA.

— Książkom, wysłanym w t. zw. sprawie kieleckiej, pozwolono wrócić do kraju. „Zaska“ dotyczy jednak tych tylko, których ukarano bez żadnego powodu, profesorom zaś w seminarjum kieleckim, zesłanym na Syberję, ks. Sawickiemu, Frelkowi, Prawdzie i Grunczyńskiemu, skrócono tylko 5 letni termin kary o rok.

— Z powodu przejazdu cara do Wiednia bardzo ściśle rewidowano podróżnych na granicy rosyjskiej. Adwokata z Piotrkowa Czekalskiego, przy którym znaleziono książkę niecenzuralną, zaarrestowano, a następnie po zrobieniu rewizji w jego mieszkaniu, odwieziono do Cytadeli. Jednocześnie uwięziono jego żonę, z którą wracał z Zakopanego. Poprzednio aresztowano w Dąbrowie Czesława Sobolewskiego, b. nadsztygara, który już przed dwoma laty emigrował z Królestwa. W Płońsku aresztowany został lekarz miejscowy Leon Rutkowski.

— We Wrocławiu zarządcono ostrą kontrolę osób przybywających z Polski. Osobom takim nakazano bezwzględnie opuścić miasto przed dniem 1 września. Chodzi o zabezpieczenie cara od wszelkich niemiłych niespodzianek.

TREŚĆ: Watykan i Rosya. — Lud wiejski w Królestwie kongresowem wobec rządu i jego usiłowań. II. nap. S. K. — Oświata ludu w Galicji. II. Czytelnie ludowe (dokończenie), nap. Zawisza. — Z całej Polski, nap. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa). — Z zaboru pruskiego (Poznań). — Z Galicji (Lwów). — Z kresów (Cieszyn). — Z wychodźstwa i kolonii. — Przegląd prasy. — Z obcego świata. — Notatki bibliograficzne. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi od redakcyi.

— Niektóre pisma paryskie donoszą, że przed przyjazdem Mikołaja II mają być dokonane rewizye u Polaków i Rosyan, mieszkających w t. zw. *hotels garnis*.

— W Zakopanem utworzyło się Towarzystwo wzajemnej pomocy przewodników tatrzańskich. Tamże otwartą będzie niebawem bezpłatna wypożyczalnia książek dla ludu, na wzór istniejących od roku w Krakowie.

— Na zgromadzeniu robotniczem w Krakowie d. 24 sierpnia uchwalono wyrazić pogardę wiedeńskiej radzie gminnej za wyasygnowanie 25.000 zkr. na przyjęcie cara.

— Ostatniemi czasy dzienniki galicyjskie coraz to częściej donoszą o wypadkach brutalnego, wyzywającego zachowania się oficerów austriackich wobec publiczności cywilnej. „Odwaga“ bohaterów, wymachujących szablami, uchodzi z reguły bezkarnie.

— Do Sejmu śląskiego w kuryi miejskiej z ramienia polskich narodowców kandydują: dr. Dyboski, notaryusz z Cieszyna i dr. Kreisel adwokat, z miast Jabłonków, Skoczów i Strumień.

— Ludność rejeneyi opolskiej, obejmującej cały Górny Śląsk, jest przeważnie polską i katolicą — składa się z 89·3% katolików, 9·1% ewangelików, reszta przypada na żydów.

— Izba karna w Krotoszynie skazała kierownika szkoły jarocińskiej Niemca, Daehnego na 5 lat więzienia za liczne wypadki niemoralności, której dopuszczał się na swych uczniach.

— Niejaki Szwedziński, nauczyciel w Dzierzanowie (Poznańskie) wymyślił nową metodę uczenia po niemiecku bez przemawiania i objaśniania dzieciom po polsku. P. Szwedziński jest Polakiem i w liście, zamieszczonym w *Gońcu*, usprawiedliwia się, że „metoda, to rzecz czysto fachowa!“

— Hakatystowski *Landbank* uzupełnia zadanie komisji kolonizacyjnej. W krótkim czasie bank ten zakupił 10 wielkich majątków (65.000 morgów), mianowicie 5 w Prusiech Zachodnich, 2 w Poznańskiem i 1 w Prusiech Wschodnich. Majątki te będą rozparcelowane między kolonistów niemieckich.

— W petersburskim okręgu wojskowym na 12000 katolików jest jeden etatowy kapelan, gdy na trochę więcej niż 3000 protestantów jest aż czterech etatowych pastorów. W wileńskim okręgu wojskowym na 15.000 katolików nie było ani jednego kapelana, podczas gdy 3000 protestantów miało dwóch pastorów etatowych. W okręgu odeskim 12000 przeszło katolików także pozbawionych było księdza, gdy dla 1500 protestantów utrzymywano trzech pastorów. Wreszcie w nadamurskim okręgu wojskowym na 70 protestantów był jeden pastor, a na 1090 z górą katolików nie było ani jednego etatowego księdza.

— Znany profesor uniwersytetu moskiewskiego Zacharjin, porzucił katedrę. Zmusił go do tego studenci przez systematyczne nieuczestniczenia jego wykłady. Powodem znienawidzenia profesora przez młodzież była ofiara pół miliona rubli, jaką Zacharjin złożył niedawno na budowę nowych szkół cerkiewnych.

— W Łodzi znacznie wychodził *Dziennik* polityczny, pod redakcją p. Ant. Mieszkowskiego, dotychczasowego redaktora *Kuryera Codziennego* w Warszawie.

— W pierwszych dniach sierpnia odbył się w Chicago zlot polsko-amerykańskich „Sokołów“ z ćwiczeniami publicznymi. Przewodniczył zlotowi ob. Błaszczyński.

— W seminarjum duchownem w Paranie zaprowadzono obowiązkowy wykład języka polskiego, z rozporządzenia biskupa miejscowego.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. Wcz. w P. O ile będziemy mogli Panu pomóc, służymy z całą ochotą.

Dobromirowi. Otrzymałmiśmy i wysłałmiśmy do miejsca przeznaczenia.